

WŁADYSŁAW ORKAN



HERKULES
NOWOŻYTNY

EX - LIBRIS



**ANTONIEGO
— BROSZA —**

**DAR
ANTONIEGO
BROSZA**

HERKULES NOWOŻYTNY

WŁADYSŁAW ORKAN

D Z I E Ł A

POD REDAKCJĄ
STANISŁAWA PIGONIA

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS
1 9 3 3

WŁADYSŁAW ORKAN

HERKULES
NOWOŻYTNY

I INNE WESOŁE RZECZY

← K R A K Ó W

1933

NR.

NAD MOJĄ DUSZĄ...

Nad moją Duszą-żałobnicą
Siadł mój przyjaciel — Śmiech serdeczny,
Usiadł przy łożu jej z gromnicą
I świeci jej na żywot wieczny...

„Niechże Ci widno będzie konać,
Gdyś ciemne dotąd miała spanie.
Że mię odchodzisz — żal mi wściekle.
Jakże Cię o tem mam przekonać?
Zmówię wesole trzy litanje
Za Twoje przebudzenie — w piekle“.

*

Nad moją Duszą-ośmiesznicą
Siadł mój towarzysz — Ból serdeczny
I z pełną smętku tajemnicą
Kołysze ją na spokój wieczny...

„Niechże-ć bolesno będzie śmiać się,
Gdyś tak na piekło była śmiała,
O czem przed światem bądźmy niemi.
Stało się, co miało stać się.
Kładźmy, o siostró, nasze ciała
Za przebudzenie Twe — na ziemi“.

HERKULES NOWOŻYTNY

W gminie Jurgów, przy granicy węgierskiej, żył człowiek sprawiedliwy, nazwiskiem Kurzawa. Był to chłop niezwyklej siły i olbrzymiego wzrostu, i w naiwności swej nie wiedział zrazu, że się tem można wśród ludzi odznaczać.

Już od wczesnych lat nawykł ustępować wszystkim, to też, gdy ojciec, uważając na jego miękkość lekkomyślną, nie ostawił mu w testamencie jeno pół czwarciny pola, i tę część ustąpił bratu w zamian za życzliwość. A to się stało w taki prosty sposób:

Upatrzył sobie był niewiastę, na żonę odpowiedzialną, i uprosił brata, aby poszedł do domu jej ojców, jako swat, na namówiny. Brat też poszedł i, wywiedziawszy się skraja, ile jej ojcowie dają, namówił — ale dla siebie, a jemu wytłómaczył pomалу przy czasie, że cóż mu po tym skrawku pola, gdy niema żony ni dzieci, lepiej niech bratu biednemu, obarczonemu rodziną, ustąpi — za to będzie miał życzliwość i wspomnienie dobre na wiek wieków.

Tak to Kurzawa zbył się ojcowizny i miał prócz

życzliwości i wspominków jeszcze zadowolenie w sercu z tego. Ani takiej zapłaty hojnej za ten mizerny skrawek nie przypuszczał.

Z tem zadowoleniem lekkim poszedł między ludzi — i pokazało się dopiero teraz, że nie umiał żyć. Poprostu nie był do życia wuczony. Czy temu, że sam się chował we większej części lat swoich, pasając owce, potem woły po odludnych halach, czy z urodzenia był tak niepojętym — dość, że już ojciec to widać spostrzegał, kiedy go z gruntu odcofnął, a i brat pewnie nie dla czego inszego odjął od niego tę resztę.

Tak — nie umiał żyć. I na cóż mu ta siła wielka, ten podpowalny wzrost, kiedy nie umiał kraść, cyganić, przewijać się, podłazić, pochlebiać, być ślepym, głuchym, niemym, gdy tego trza było — no jednym słowem: nie był do życia sposobny.

To też, gdy nigdzie przy ludziach nie mógł długo wybyć, ani roboty wkocu u nich znaleźć, a widział, iż innym, lichszym od niego w sile i umiejętności robót, dobrze się wśród ludzi wiedło, zaczął powoli poznawać niedołężność swoją. I to go jeszcze więcej onieśmiało do życia.

Straciwszy ostatnią służbę z powodu dosyć głupiego (iż nie mógł ten rok jakiś przepatrzyć spokojnie, jak gaździna oszukiwała męża poza oczy), stał się już całkiem bezradnym i jeszcze bardziej tego wszystkiego, co się życiem nazywać zwykło, nierozumiejącym. Tak się mu to wszystko pomię-

szalo — i złe i dobre, i gorsze i lepsze, i sprawiedliwe i niesprawiedliwe, — że się już doznaku stracił i, jakby mu omamienie mgłą na oczach siadło, ujrzał się niby przed jaskinią czarną, którą silił się oczyma przebić, czując przytem, iż gdyby się jego oczom rozwidniła, to już potem wszystko — całe życie — stanie mu się jasnym. Doznaku tak, jak we śnie.

I gdy tak silił wzrok w tę ciemność długo, uporeczywie — a na płacz mu się już zbierało z tej próżnej niemocy — obaczył nagle przed oczyma smoka, który wychylił łeb potworny z czarnego otworu, wywalił na patrzącego ózór taki długi, że jak życie życiem nikt pewnie nie widział takiego ozora, i cofnął się pomału nazad do jaskini. Wyraźnie drwił z Kurzawy.

Wtedy to po pierwszy raz napadła tego dobrotliwego z kośćmi człeka taka złość nieopętana i — można jeszcze dodać — taka wściekłość, iż bez momentu namysłu rzucił się ku tej jaskini, aby tę potworę głupią za jednym zamachem zabić, a jeżeli się nie da, to przynajmniej po tej drwiącej mordzie skuć tak, iżby się jej posoka puściła.

Ale cóż, gdy już mocno z tym zamiarem ruszył, wszystko mu naraz zniknęło z przed oczu: i smok, i czarność, i jaskinia — omamienie go odpadło, i widział jeno dookoła życie podobne jak przedtem.

Na kimże się tu mścić?

Z tego zabrał się z gminy, zaszedł na odludne działki, które graniczyły z wsią sąsiednią — a że był głodny i zmęczony, siadł na rozstajnych drogach i, nie widząc nikogo z ludzi, jeno pustkę, rzekł głośno, z przekonaniem:

— Niema sprawiedliwości.

A potem, gdy sobie, dumając długo, udowodnił na wyraźnych, bo niedawno przeżytych przykładach, iż prawdę powiedział nie kłamstwo, spytał się znowu tej pustki:

— Co czynić?

A że go już raz szarpnęło do bitki — choć to była jeno złuda, co go napastnęła — tem pilniej ponowiła się teraz ta chęćka:

— Chyba iść i prac z kraja — wszystkich — bez wyjątku... bo tu każdy coś winien...

Ale, zastanawiając się nad tem, obaczył, iż się to nie da tak łatwo wykonać. Gdyby wszyscy ludzie stanęli przed nim w jednej postaci, naprzykład w postaci smoka, jaki mu się w tem omamieniu pokazał — to rzecz byłaby nietrudna. Ale tak... po jednym... Odrzucił ten zamysł.

Widząc się zaś rzeczywiście na rozstajnych drogach, znowu w bezradzie pomyślał:

— Co czynić?

Wtedy to odezwały się trzy głosy — każdy z osobna i inaczej — tak, iż mu się nawet mogło

zdawać, jakoby trzy postaci różne przed nim stały.

Pierwszy głos mówił.

— Miejże rozsądek, człowiecze, i kiedy cię ta gdowa rada widzi, coś zaprzeszłego roku u niej służył, to się z nią ożeń i bedziesz miał miejsce. Przecie to szczęście dla ciebie. Wiesz, jak trudno niemającemu majątku przyżenić się do gruntu. Sam uważ...

Ten głos nie był mu doznaku obcy. Tak, to samo, baczy, radziła mu życzliwie jakaś niewiasta, czy też kumoszka nawet onej gdowy.

A drugi głos powiadał:

— Jeżeli chcesz mieć długie życie, to strzeż się zwad i bitek. A najlepiej, żebyś się pozbył przesądów i ostał kościelnym dziadem.

Ten głos w nim samym się zrodził; ale Kurzawa najmniej sobie wierzył; przeto się nawet nad tym głosem i nie zastanawiał.

A trzeci głos podszeptwał:

— Najlepiej jedź we świat. Świat szeroki, któż zgadnie, możesz natrafić na szczęście. Ani wiesz nawet, co cię czeka. Przytem obaczyć możesz cuda różne...

I ten głos, zdało mu się, choć trochę inakszy, już słyszał gdzieś, od kogoś, niedawno... Ale ba! tak — istotnie — od żyda karczmarza, który go w zeszłą dopiero niedzielę namawiał, aby ostał u niego furmanem. Jeździłby jeno po tabak za

granicę węgierską, do miasta. Kawał świata... kraj nowy... Cóż ono go wtedy cofnęło, że nie przystał?

I począł myśleć w rozumie, a ten ostatni projekt coraz to bardziej zaczynał mu się podobać. Jedzie sobie, mospanie, parą końmi, jak kmięć na odpust do kościoła... Gościniec bity — osiedla po obu stronach — ciekawość wyziera z okien, gdy przejeżdża... Dziewki, zwyczajnie, najciekawsze... Niejedna gładka twarz czerwieni się i chowa poza sprzeczki okien, jak ta piwonja w ogródku poza sztachetami. Dolatuje go głos: „Patrzcie! Kurzawa jedzie!“ On się prostuje na wozie i, jakby go nigdy nic nie obchodziło, zatacza koło biczem, strzela, a konie niosą, jak sto djabłów...

I wnet w głowie jego, tem pomyśleniem rozpalonej, wytworzył się taki obraz zacny, iż furmaństwo zdało mu się najszlachetniejszym, ba, najslawniejszym zajęciem, jakie na świecie istnieje — w oczach urosło mu w Sławę, w słowo o wielkiej literze... Furmaństwo — Państwo — Hetmaństwo...

Widziało mu się jasnym, niewątpliwem, że właściwie już od dziecka o tem furmaństwie marzył. I naturalnie, poszedł za tym głosem. Choć ten głos nie był, jak się już rzekło, wewnętrznym — i, jak widać z powyższych kwiecistych obrazów, tak jeno mógł Kurzawę żyd-karczmarz

zachęcać. Ale na to on nie baczył; niech był ten głos skąd chciał, skoro dobrze doradzał: tak mu się już stanowczo widziało. Powiedzieć można: uwierzył w swoje powołanie.

Poszedł odrazu, najął się i jeszcze w tym dniu przełomowym został, jak bezświadomie był marzył, furmanem.

*

Z tych rzeczy, które mu wyobrażnia naprzód malowała, spotkał jeno w rzeczywistości gościniec bity i osiedla, nie zawdy po obu stronach. Bicz miał wprawdzie, ale nie umiał zeń strzelać — przekonał się, że i tu trza było sztuki; ostatecznie mógłby ją był ćwiczeniami nabyć; szkapy jednak miał tak liche, że o jakimś paradowaniu rycerskiem nie było i pomyslenia.

I dość prędko furmaństwo stało mu się nędzą, słowem o malej literze, jak zresztą każde insze zbliska obaczone państwo — gałgaństwo — cygaństwo...

Wnet też przestał nazywać je swoim od dziecka powołaniem, a nazywał je posepnie swoim przeznaczeniem, zanim zkolei przy ciężkich westchnieniach nie zaczął nazywać je swoją niewolą. Bo to tak naturalnie szło...

Już dawniej, jak się rzekło, przyszedł nasz Kurzawa na to, że niema sprawiedliwości; teraz, jeżdżąc światami, tem wyraźniej to spostrzegął;

najbardziej to zaś uczuwał sam na swojej skórze, choć nie cliwą miał na różne biedy.

Doszło do tego, że zatrzymał raz szkapy na otwartej drodze, jakby mu nagle coś wpadło do głowy, i zapytał się stanowczo:

— Po co ja mam tak jeździć?

Nikto mu nie odpowiedział. Więc, westchnąwszy dość ciężko, popędził szkapy i ruszył. Jadąc zaś dalej, dumiał:

— Tu ktoś winien...

Już nie myślał, że „tu każdy coś winien“, jak przedtem, bo, siebie sprawiedliwym widząc, sądził, że podobnych mu musi być choć trochę ludzi — bowiem inaczej jakóżby świat istniał?

Przytem, jako człek w sercu sprawiedliwy, nie miał nigdy takiej pychy, żeby się zgoła inakszym od wszystkich ludzi miał widzieć. Przecie jeżeli nie czem innym, to siłą swoją mógł się pysznić, a w myśli mu to nie stało; a wzrostu to się nieraz i doprawdy wstydział, znalazłszy się na oczach wielu, naprzykład w kościele, gdy klęknąć nie mógł wśród ciżby. Dlatego to winić wszystkich mógł chyba jedynie wtedy, gdy głód mu po katolicku uczciwie pomyśleć nie dał.

Jadąc pomału, z przekonaniem coraz to mocniejszym, jakby mu się lżej przez to czyniło, powtarzał w koło:

— Tu ktoś winien...

I podszepnęło mu nie wiedzieć co, że winni tu niesprawiedliwi ludzie.

Tego mu właśnie trza było. Takie to proste mu się zdało, takie nikogo i wielu oskarżające... W sam raz rzetelna odpowiedź. Wydało mu się wprawdzie, że on już to samo wiedział; ale teraz mu właśnie trza było, by mu to ktoś przybaczył i, przybaczując, potwierdził, że to tak jest istotnie, nie inaczej.

Dumając nad tem, z gorliwości jeszcze o sprawiedliwość rozszerzył:

— Wszystkiemu winni niesprawiedliwi ludzie.

I w tem już ostatecznem przekonaniu ostał. Ta wiara mu się taką pełną zdała, taką wszystko tłumaczącą i obejmującą, iż już nie do owych słów dodawać nie myślał. Była to w sam raz dla Kurzawy wiara; on bowiem zdawna gorliwym był o sprawiedliwość, jeno nie znał, skąd jej się krzywda najciężliwsza dzieje.

Skoro więc poznał, rozgorzał w pocziwem sercu, przeciągnął ciężkie ramiona i poczuł się w sile.

Znalazł nareszcie ostoję dla siebie i oparcie w tem dziwnie pogmatwanem życiu. Chodziło teraz jeno o to, aby podług tej wiary żyć i czynić święcie.

Ku temu przeszkód dużych nie spotykał, ba, okazje sposobne same mu się nawijały, jako dzień za dniem jeżdżącemu.

I oto jednego dnia napotkał koło karczmy przydrożnej dwie partje bijących się chłopów. Staął, zlął pomału z wozu i, okręciwszy lejce koło luśni, przystąpił poważnie ku nim. Ci obaczywszy przed sobą olbrzyma, gdy nie wiedzieli jeszcze za kim stanie, rozpadli się na dwie strony i zaprzestali bitki. Wtedy Kurzawa począł sąd. Rozpytał się pomału, o co którym chodzi i, rozsądziwszy w swym rozumie sprawę, kazał ludziom sprawiedliwym nie ruszać się z miejsca. sam zaś podszedł ku partji, którą za winną osądził, i począł z kraja prac. Jezusie! Takiego sądu uczciwego jeszcze nikt z ludzi nie widział. Chciał on tych niesprawiedliwych pokarać w miarę ich winy, ale się miara straciła, gdy karę zapoczął. Gorliwość jego ręką kierowała — gorliwość święta, z tyloletniej uwięzi zerwana, zasłaniająca mu oczy na sińce karanych, i uszy na ich jęki. Już nikt oporu nie stawiał, a on się jeszcze srożył. Już stracił z oczu ich winę i widział jeno przed sobą niesprawiedliwych ludzi i tych karał za sprawiedliwość cierpiącą, za siebie — wkońcu już nie wiedział za co, gdy mu gniew święty uwagę zatopił. Wreszcie się opamiętał, skoro już nikogo przed sobą nie zauważał, bo niesprawiedliwi wszyscy leżeli jako barany, a sprawiedliwi uciekli przed końcem sądu, bojąc się w przezorności, by się ten olbrzym zjuszony, skończywszy sprawę z tamtymi, ku nim nie zwrócił naostatku

w oślepiem zapamiętaniu. Poczem podszedł do wozu pijanym jakby od wzruszenia krokiem, odkręcił od luśni lejce, wsiadł do półkoszek i pojechał.

Odtąd trafiały mu się częste okazje. Bo już miał oczy wzwyczajone do wyszukiwania ich wśród zgiełku zdarzeń. Nieraz gromady całe napotykał, zwłaszcza podczas jarmarków lub wesel, nieraz jeno parę ludzi koło miedz przy drodze, ale tygodnia nie było, żeby nie miał sądu; sądził zaś sposobem prostym, jak się przytoczyło wyżej.

A że, sądząc jedynie z opowiadań ludzkich, pomylił się nieraz i prawdziwie w jakimś zdarzeniu niewinnych pokarał — ha no, to trudno: ludzka rzecz: mylić się w sądach.

I miał Kurzawa zadowolenie w swem sercu i nie czuł już tak ciężko swej niewoli, gdyż żył i czynił podług wiary.

*

I wiele lat tak jeździł i po drogach sprawiedliwość czynił.

Sława jego rosła z każdym czynem, pełno imienia jego było w okolicy, i nawet w dalsze strony słyna o nim szła, ciekawiąc ludzi, jakby o jakim bohaterze. Poczynali już po stronach mówić, że to niezwykajny człowiek, i dziwili się wielce jego czynom; tylko ci mało się dziwili, którzy go

znali poprzednio inakszym; ci powiadali, mrużąc oczy: „My to już wtedy w nim widzieli“.

Sława Kurzawy rosła, i szacunek się dla niego szerzył, ale niesprawiedliwość nie malała — ba, niesprawiedliwych ludzi było coraz więcej, jakby się z jego osądków rodzili. Kurzawa coraz mocniej gniewem się ku nim zapalał i w zapamiętaniu swem nie przyszedł na to, że mu właśnie ci niesprawiedliwi ludzie, może bardziej niż sprawiedliwi, potrzebni — bo gdyby ich nie było, cóżby wtedy robił, chcąc dla sprawiedliwości czynić? Ba, przeciwnie — gorliwość gniewna w nim rosła. Zapalał się coraz srodzej w swojej świętej wierze i już nie zadawałniał się okazjami, jakie mu się po drogach przytrafiały, ale sam począł szukać sposobności, gdzie mógłby niesprawiedliwość pognać, a sprawiedliwości pomóc, iżby wkońcu zapanowała na świecie — bo widziało mu się w sercu, iż to jest celem jego życia. Począł jeździć na jarmarki, choć nie miał potrzeby, zapraszać się na wesela bez pomocy družbów, zachodzić wreszcie do karczmy między zgiełk i ciżbę... A skoro się mu sposobność przydarzyła — sądził. Owa gorliwość zdwajała, ba, setniła nieraz jego siłę, tak, że kupy całe gromił, jako on Samson biblijny. I wszyscy już uwierzyli w jego moc nie z tego świata, i nikto zemsty nie śmiał szukać na nim, choć i niejeden pocichu jej pragnął. Ta gorliwość zarówno czyniła rękę jego

coraz to mniej lekką, coraz to więcej podobną do młota; sam już nareszcie wagę siły swojej stracił.

I co się nie wydarzyło...

Oto jednego pogodnego rana dostał Kurzawa wezwanie do sądu.

Gdy raz przy okazji gromadę jakąś uśmierzył, któregoś z niesprawiedliwych tak mocno, nie czując ciężkości ręki swojej, nadwerężył, iż mu już do śmierci bardzo niewiele brakowało; jakieś tam żebra, czy coś z kości miał nadłamanego.

Za to go teraz wzywano. Poszedł ochotnie, bo cóż go miało trapić? Powie im: „Ja dla sprawiedliwości czynił“ — i po sądzie. „Sąd też dla sprawiedliwości jest ustanowiony“ — dumiał.

I bez najmniejszej trwogi jawił się przed sądem. Jakież było jego zdumienie, gdy usłyszał wyrok, skazujący go za zbrodnię (wyraźnie słyszał: za zbrodnię) na trzy miesiące kryminału! Jakby go kto z nienacka pałką w łeb uderzył... Nie dano mu nawet czasu opamiętać się i wyjść ze zdumienia, jeno go zaraz wepchano do jakiejś ciemnicy, gdzie miał tę karę cierpieć. Tu dopiero ochłonął i mógł się zastanowić.

Teraz to już nic a nic nie rozumiał. Zgłupiał doznaku, na pięknie. Przecie on dla sprawiedliwości... a tu znowu w imieniu sprawiedliwości... Myślał, myślał — dzień, i noc, i dłużej — sam nie wiedział, jak długo, bo już czas rachować przestał — i nic zgola, ani odrobiny z tego

wszystkiego nie mógł pojąć. Widział jeno czarność przed oczami i przed rozumem nieprzebitą, jak ścianę, jak mur.

I znowu mu się ta potwora, jaką już raz w omamieniu widział, przedstawiła. Przechodziło mu się wyraźnie, że ją widzi w czarnym naprzeciwko kącie, jak się trzyma łapskami za brzuch przeobmierzły i śmieje się tak wstrętnie, że się jej aż pysk drze od jednego ucha do drugiego, a zębska jej się świecą jak te grabie.

Kurzawa już się nawet na to i nie wściekał, jeno odwrócił umęczoną głowę i szepnął z gorzkim wyrzutem (jak dziecko, gdy je pokarzą, a drugie się z niego śmieje):

— Śmieję się, śmieję...

I począł aże z tej niemocy płakać. Potwora znikła.

Kurzawa znów, uspokoiwszy się zwolna, zaczął na nowo nad tem wszystkim myśleć. Zasadzał się stąd i zowąd, aby coś rozumem pojąć — ale na nic, popróznicy głowę se mozolił. Gdy zaś począł uparcie z całym wysileniem dumać, to uczuwał, że mu się coś w rozumie mąci, jakby go obłąd głupi napastował. I dał już spokój głowie — już nie dumał. Siedział bez ruchu i bez żadnego myślenia — drewniał pomału — czasu idącego nie czuł — nic nie czuł, jeno ciężkość na piersiach duszącą, jakby się góra piasku na nie zwiezła, i czarność przed oczami, jak ścianę, jak mur...

Wyszedł nareszcie z więzienia — wrócił do wsi — ale już nie ten Kurzawa. Widoku ludzi się trwożył, zwłaszcza gromad większych, i nieśmiały był bardziej, niż podówczas, gdy u ludzi służywał niewolnie.

Zgarbił się jakoś, zmalął — nikto by go już za olbrzyma nie wziął — osiedla ludzkie omijał zdaleka, po boku chodził ze zwieszoną głową, wygląd miał smutny na wejrzenie, jak niedźwiedź po spowiedzi.

Ludzie też, widząc go takim zgnębnym, śmielej poczynali mu zazierać w oczy, ba, dość nie rzadko witali go śmiechem. Częstoż przy nim zwady poczynali na próbę, czy się też wmiesza — ale Kurzawa, jakby całkiem zabaczył o sprawiedliwości, patrzył ponuro na to i usuwał się. Sława, czynami dawnymi zdobyta, pokryła się gdzieś poza ludzkie płoty, ani jej widać ni słyhać nie było.

Niesprawiedliwość podnosiła coraz to wyżej łeb swój nieochrzczony, wreszcie na cały głos triumfowała.

Kurzawa jeździł szkapami, ze zwieszoną głową, po drogach, po których jeszcze niedawno sprawiedliwość czynił — i tu też, jak przeznaczenie chciało, spotkała go śmierć.

Oto bowiem ci wszyscy przez niego dawniej sądzeni — a było ich dość sprawnie, bo coś prze-

szło nad stu — zmówili się w jednym czasie i, zastąpiwszy mu drogę, zabili. („Nec Hercules...“).

Odtąd sprawiedliwości niema w gminie Jurków. Ale sława Kurzawy zaczyna się powoli przywracać. Ba! nawet ci, których on za życia sądził, a którzy go za to potem (słusznie, jak powiadali ludzie) uśmiercili, zaczynają przemyśliwać nawet dość naprawdę: czyby go natenprzykład nie ogłosić świętym?

OPOWIEŚĆ O PŁANETNIKU

Zwątpiwszy całkiem w oświatę, jaką z miest przez kalendarze i insze „macierze polskie“ gwałtownie raz do roku (niby w śmigus pachnącą nieczystość) na łby nieuczesane rozlewano, w pewnej wsi niebardzo znanej, która jeszcze nie wymarła doznaku na tyfus, gazdowie trapiący się po próżnicy życiem i szukający nadaremnie jakiegoś oparcia, zgromadzali się wieczorami w izbie mało jasnej i oświecali się sami (dziwny sposób!) przez różne z życia opowieści, jakie zwyczajnie ogólnej uwadze jeden lub drugi podawał.

Więc w jeden wieczór Szymek Z końca taką opowieść przytoczył:

„Niedaleko od nas, bo koło Góry św. Jana, ludzie dobrzy, zamożni, których tam zwią kmiecie, chowali sobie w domu planetnika, i czuli się bezpieczni przed burzą: nie obawiali się już, że im grad zboże poniszczy, ulewa ziemniaki splucze, bo ich o tem zapewnił sam, gdy go w gościnę rądzi przyjmowali, chociaż — można rzec — z niejaką obawą, jaką zwyczajnie człowiek zwykły czuje przed takimi.

Ciekawiście, jak wyglądał ten ich chowany planetnik? Był to panek dość zgrabny i w odzieniu czarniawem, jakie się na panach widzi. Zresztą nie miał na pozór nic dziwnego w sobie. Przyszedł raz do nich, jak wędrownik i na pytanie: co robi? czem się zajmuje? — powiadał, iż burze zażegna. „Któżby inszy mógł być, jak nie planetnik?“ — dumali, i przyjęli go ochętnie w gošcinę.

No i pomału z dnia na dzień oswajali się z nim jakoś i tak się wreszcie doń przyzwyczaili, że już nie czuli nijakiej obawy przy nim, natomiast mieli w sercach raj i spokój taki, jakiego nigdy przedtem nie miewali.

Zazdrościli im wszyscy ludzie dookoła i pewnie byliby im tego planetnika obietnicami do siebie zwabili, gdyby ich ta myśl nie cofała, że gdy burza nadejdzie, a on ją zażegna, to przecie i ich grunta się przytem ocala, jako o miedzę sąsiednie. A tak się i skorzysta, i kosztów się nie poniesie żadnych na chowanie. „Niech sobie go tam chowają“.

Chowali go też ci kmiecie, czem mogli najlepszem, bo i grymašny był bardzo. Jajecznicę mu smażyli, zacierkę z bielutkiej mąki na mleku słodkiem przyrządzali, no słowem miał opiekę — jakby wam jašniej przedstawić? — ani pleban nie ma takiej od swojej gospodyni. I szanowali go wszyscy, nawet czeladź; gdy spał w šwietlicy,

to na palcach przez sień chodzili, drzwi, które skrzypiały, w piekarni nie dowierali, kury gda-
czące na ten czas z kojca wynosili, świń o tym
czasie do izby nie puszczali — nikt chyba już tak
nikogo nigdy nie szanował.

I dobrze temu planetnikowi tam było — sam
nawet mówił, że mu dobrze. Całymi dniami nic
nie robił — święty miał czas — wsze święto. Jeno
czasem przychodziła na niego planet. No zwy-
czajnie u planetnika. Cóż się dziwić? Najczęściej,
gdy mgły schodziły od wierchów w doliny. (We
mgłach on jeno lubiał chadzać). Wtedy szedł
w pole w swoim wietrznym płaszczu — i kto wie,
co tam nie robił — bo się bali za nim daleko
w pole wyzierać. „Swoje sprawy czyni“ — powia-
dali. I dowiadawali się wieczorami od wystra-
szonych pasterzy, iż mgłę do torby brał i nosił ją
na wierch wysoki — tam, jakby w chmurze, kule
ze śniegu robił i tulał je, bawiąc się niby, nieraz
do śródwieczerz — to znowu, iż w potoku wodę
kijem bił dotąd, pokąd się w lód nie ścięła —
i insze jeszcze dziwne historie.

Po takich pracach gdy wracał, zmęczony był
bardzo. To też czempilniej stroili mu, co mieli
jeno najlepszego. Jadł i spał potem, a ludzie byli
spokojni.

I tak czas święcie mijał, przechodziło już i lato,
a o burzy ani słychu. Nigdy się tak szczęśliwie
żniwa nie zapowiadały.

Poczynali się już i ludzie dalsi zwiadywać (bo słyna szła) o tego planetnika: czyby do nich na zimę nie przyszedł, dumając w swych rozumach, że owi kmiecie, którzy go chowają, chętnie go na zimę puszczą (jako że w zimie o burze obawy niema), a oni już — co stracą, to stracą — to, zimując go, na lato sobie zapewniają jego opiekę i wdzięczność — może i na dalej, — kto wie — przyszłość taka niepewna...

Ale owi dobrzy ludzie ani przykładać sobie do myśli nie dali, iżby mieli pozbyć się takiego drogiego gościa. „Już my go tu i wyzimujemy“ — powiadali. Za nic by sobie tego spokoju nie dali odebrać, jakim ich napawał on, w domu ich bawiący. „Oto jak życie życiem takiego lata cichego nie było. Co się zamgli na niebie, to się rozpogodzi. Wszystko, dzięki jemu (dawniej: dzięki Bogu) rośnie i bez szkody na polu dojrzewa. Co to, widzicie, znaczy mieć moc albo władzę... A co to znaczy mieć taką władzę u siebie!“ Już poczynali się pysznić „swoim planetnikiem“, jak go po domowemu przed obcymi zwali.

I w takiej spokojności świętej czas upływał, żniwa się wolno poczynaly. Ludzie się i nie spieszyli ze żniwem, jak po insze roki, gdy trza było kraść czasowi ze rzadka sposobne chwile. Wdzieli same pogodne dni przed sobą.

Aż tu jednego przypołudnia przybiega służąca, która na miedzy na wzgórzu trawę krowom do

podoju żęła i, zadyszana, powiada, iże słyszała grzmot w chmurze. Zrazu nie wierzyli jej i wyszli słuchać. I obaczyli na oczy czarną na zachodzie noc w oddali wielkiej i usłyszeli echo głucho przetaczającego się po niebie grzmotu. Zatrwożyło ich to trochę, więcej jednak ze zwyczaju, niż z prawdziwej gazdowskiej obawy o siana. Przecie chowają planetnika. Weszli na powrót do izby, a przechodząc przez sień, zajrzeli przez szparę do świetlicy, aby się upewnić w sercach, iż on jest w domu; i obaczyli go śpiącego, więc tem spokojniej posiedli na ławach swoich. Ba — po niedługim czasie odgłos grzmotu do izby doleciał, i ściany nawet, widziało się, zadrzały przy tym odgłosie. Nie mogli długo usiedzieć spokojnie i znowu wyszli patrzeć. Czarna noc zbliżyła się — widać było wyraźnie kołujące się ceglaste chmury. A w tych chmurach tak szumiało, jakby tysiące ptaków gdzieś górą leciały, albo jakby się potoki zeszły w jeden huczący wodospad. Groza szła od tego szumu. A tu już i błyskawice oczom się pokazywały — różne łańcuchy ogniste i krzyże — i grzmot się toczył bezustanku. Wtedy poczeli mówić między sobą: „Trza by go zbudzić“. Ale żadne nie miało śmiałości iść, żadne nie chciało pokazywać trwogi. Wkońcu, widząc już, że niepeć, że chmura już pół nieba zajęła, zdecydował się sam kmieć i wszedł nieśmiało do świetlicy. Planetnik już nie spał. „Też róbcie

jako“ — począł kmieć z jąkaniem — „bo widzicie, co się dzieje“...

„Widzę“ — odrzekł planetnik. — „Macie zaraz tu na oknie położyć pięćdziesiąt koron“... I począł się powoli zbierać.

Kmieć miał się zapytać: na co? — ale odłożył na później, by się przez to pytanie jakie zło nie stało. Poszedł posłusznie do komory, przyniósł pięćdziesiątkę i położył ją na wskazanem miejscu.

Spokój, z jakim się planetnik ubierał, wlał na powrót wiarę w serce kmiecia — wyszedł uspokojony, zwołał domowników do izby, gdzie znowu na ławach posiedli i w spokojności serc swoich czekali. Dawniej byliby, trwogą ogarnięci, szukali dzwonek loretਾਂskich, chleba świętej Agaty, mąkę na ogień by sypali, a gdyby to nie pomogło, to popadaliby na klęczki, zamknąwszy pierwaj wszystkie drzwi i okna, i wołaliby w ostatniej ufności, w płaczu ogólnym: „Święty Boże!“ A teraz nic im z tego wszystkiego na myśl nawet nie przyszło, jeno pozierali z ciekawością przez uchylone nieco drzwi piekarni, których umyślnie ktoś nie domknął, ku świetlicy: co on tam robi, czy już czyni, czy już zażegnuje...

A planetnik, ubrawszy się, schowawszy ową pięćdziesiątkę i pozbierawszy rzeczy swoje, których nie miał wiele, bo jeno kij, torbę na mgłę i ów płaszcz wiatrem podszyty — stanął, pomyślał trochę — i wyszedł. Widzieli go, jak wycho-

dził i choć ciekawość ich rwała, nie mieli odwagi za nim na pole iść. A już czas był najwyższy, bo burza była już tuż prawie...

Moiściewy — jak przyszedł grad, to zbił tak wszystko do znaku, że nie mieli ludzie dobrzy co po gradzie zbierać. Wytrzepał wszystko do imentu!

Takiego się to cudu z niego dochowali“.

Długo po tej opowieści Szymka nastąpiło milczenie. Gazdowie kurzyli fajki, wzdychali głośno, rozważali. W końcu Cyrek od kościoła, siedzący najdalej w kącie, wyjąwszy fajczykę z zębów, splunął i odezwał się cichawo, zwolna:

— Ono ta tak... I dziś są tacy planetnicy, którzy się tem przechwalają, że burzę potrafią zażegnać, gdy padnie. A lud ich chowa. Ono ta tak...

I znowu się cicho uczyniło. Jeno sapania ciężkie a pykania z fajek słychać było. Nikto z nich jakoś nie myślał już nową podawać opowieści.

O WOJTKU, KTÓREGO NA SZCZEPANA PRZEKRĘCILI

Sam o tem, już jako Szczepan, tak ludziom dobrym opowiadał:

„Dwoch nas matusia mieli. Było tam jeszcze coś, jak powiadali, ale to sie nie doczekało chrztu świętego. Mnie było Wojtek na imię, a bratu starszemu Szczepan. Tatuś pomarli zawczasu, i my z matusią gazdowali. Szczepanowi przyszły roki, że musiał stajać do odbiórki, i za drugim razem z wiesną odebrali go do wojska. Miał już na jesień iść. Ale matusia nie chcieli, żeby on do wojska poszedł, bo im sie widział bardziej niż ja przy gospodarstwie potrzebny i kochali go bardziej niż mnie, już od samego czasu. I jak wzięli chodzić do powiatu, do urzędów, do wójtów, do pisarzów — jak wzięli kręcić i kręcić — tak mnie na Szczepana przekręcili... I, jako niby Szczepan, musiałech do wojska przystać“.

Nie wiedzieć zgoła, jak mu tam przy tem wojsku było, bo na jego opowieściach trudno się

opierać — dość, że trzy roki uczciwie do końca wysłużył i do wsi po zwolnieniu ze służby powrócił.

Ale — jakby mu tam co złego zadali — już się chałupy nie trzymał. Jak gdyby go coś odbiło od domu... Marsze odbywał, krótsze albo dłuższe, zależnie od dnia i pogody, — pasterzy, gdzie natykał, zawzięcie „egzeczyrował“, — lecz najochotniej rad biegał po polach, nie bacząc zgoła na szkody, a gdy mu kto zwracał uwagę, co robi, odpowiadał, stanąwszy „podług rozkazu“, że „cesarskie manibry“ odprawia.

Omijali go gazdowie i dużych piekieł nie robili, mimo tych szkód, jakie im się w oczach dziejętniły; czasem ta jeno niektóry kijem go przegnał sękatym na przestrzeń swobodniejszą.

Jeden błąd jeszcze miał w rozumie, jakiego dawniej u niego ludzie nie widzieli: Noża się ogromnie strachał. O czym gdy się młodzież we wsi, jak zwykle lekkomyśląca, zwiędziała, już nie miał od niej spokoju. Wszędzie go temi nożami, jak psi szczekaniem zająca, pędzili.

Widzą go, idzie poprzód sięń.

— Józek, podejno tam noża!

Wchodzi za próg do izby — tu już nóż na pasku ostrzą. Nieraz nie zdołał „pochwalony“ rzucić, tak wartko w pole nawracał.

Najchętniej też trzymał się otwartego pola, gdzie mógł przed zasadzkami ująć łacwo — tak

doznaku, jak zając płoszony. I najczęściej w tej wolności po szopach nocował, a latem to i pomiędzy żytami, bo gdzie jeno na nocleg do osiedli zaszedł, w te pędy odstrachali go temi nożami.

Nie mówi się już o siekierze. Siekierę gdy obaczył, to mało iże ze skóry nie wypadł — tak się jej widoku lękał. I wogóle wszelakie ostre żelazowo, które on „bronią“ nazywał, tak go okrutnie strachało. Kto miał tę „broń“ przy sobie, to już nie był dlań człek ze wsi, już go nie poznawał nijak; był to w jego obraźni wróg jakiś, na życie jego nastający.

I gdy go kto zestraszyl, tak się zmieniał, że prawie nie tym był Szczepanem... jakby go co w tym strachu znów na inszego przekrecało. Oczy wyskakiwały, twarz bladła, a mowa mu się tak przeinaczała, że niktoby go po niej nie rozeznał; nawet słów dobierał inszych, niż we zwyczajnej gwarze.

Straszony, dziczał pomału, dróg się już ludzkich nie trzymał, więcej polami chadzał, ulicami, któremi bydło goni się na paszę. Lecz i tu nie był doznaku bezpiecznym.

Zdarzyło się raz: szedł ulicą krokiem żołnierskim, wymierzonym, aż tu słyszy przeraźliwe „stój!“ i widzi przed sobą rycerza (każdy chłop wyższy rycerzem mu się wydawał), jak wyjmuje broń (kozik) z za pasa i zbliża się złowrogo ku niemu. Szczepan zmiertwiał z przestraszenia. Po-

czem zwyrtnął się nazad i w ucieki... Ba — z tej strony jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Oto jedzie jakiś rycerz czterema siwcami (chłopina wiózł widać z lasu ścielę byczętami), broń na ramieniu dźwiga (siekiereę pewnie, jak z lasu) i wyraźnie niedobry zamiar ma w umyśle. Szczepan już nie wiedział teraz, co ma robić. Ulica owa była wąwozem głębokim i jeszcze płotem ogrodzoną. A tu z dwóch stron nieprzyjacieli... Zastanowiwszy się mało, zwrócił się znowu ku pierwszemu. Ten, widząc trwogę Szczepana, podnosi głos straszny: „Tu musisz zginąć!” i wywija bronią. Szczepan w niebezpieczeństwie ostatniem zbywa się trwogi, pada na kolana i poczyną słowami miękzyć serce wroga. „Wiesz ty... ja twojej ojczyzny bronil! Ja krew la ciebie przelewał! O mało, zem w stu bitwach nie zginął... Czy ty to pojmujesz? Uderz w pierś moją (tu odsłonił rękami koszulę), jeżeli masz serce... uderz! Tu tysiąc kul mierzyło... A te rany (pokazał sińce na ramionach), wiesz, la kogo te rany? La ciebie! Tak, szlachetny rycerzu, la ciebie i la ojczyzny twojej! Masz sumienie?”

W tem podobieństwie jeszcze długo mówił, aż chłop, od śmiechu już zesłably, przepuścił go ulicą.

I niejednen raz podobnie się zdarzało.

Czasem jakaś litościwa gaździna, u której nie było nikogo takiego, coby go „bronią“ odstraszał,

przyjęła go do domu na czas jakiś — to robił, pomagał jej całym wdzięcznym sercem, i nie widać było po nim, aby mu co w rozumie brakowało. Ale niech jeno kto przyszedł i z żartu nóż mu pokazał — już go nic nie utrzymało. Uciekł w pole i już się nie nawinął.

Do spotkanego kogoś, kto mu wyrzucał słowami: „Nie dobrze ci tam było? Nie mógłś tam ostać?“ lub podobnie inaczej, powiadał:

— Ani człek wie, moiściewy, co go może trafić. Gotowi zarznąć... co myślicie!

— Baj-że, baj! Ktoby cię ta zarzynał! Coby komu z tego przyszło?

— Ho! Ani wiecie, co kto myśli. Coż przyjdzie z tego ludziom, że biją inszych? A biją...

— Bo jak kto zawini... Ale ty, coż komu wadzisz?

— Nic nikomu nie wadzę. Ale któż wie... Czasem człek nic nie zawinił, a karzą go. Nierozum się nie pyta, ba bije... na śmierć bije! Tak. Ja to wiem dobrze.

— Coż ty człowieku możesz wiedzieć? Cożes ty podżył na świecie gorzkiego?

— Ja nic nie gadam. Co wy chcecie? Możescie wy szpieg jaki? Co?

I nie czekając wyjaśnień, umykał, jak zwierz, gdy dojrzy zasadzkę.

Nieraz też któraś z kobiet, bo go te jeno litowały, zapytała go:

— Jakże ci tam, Wojtuś, przy tem wojsku było? On na to z pewną przechwałką:

— He, He! Ja już nie Wojtek! Ja Szczepan!

— No to, Szczepanku... jak to tam przy tem wojsku było? Opowiedz-no nam choć nieco...

Nie dawał się długo prosić, ohotnie opowiadał.

— Raz nam kazali zabrać wszystko, całą zbroję swoją i masierować na manibry, bo tam nieprzyjaciel czekał. Zebrali my sie wartko, coby nieprzyjaciel tymczasem nie uciekł, i szliśmy ciągiem polami, obchodząc drogi zdaleka, aby go zejść znienacka. Spieszyli my sie strasznie, ale i to sie widziało jednorałom, co za nami na koniach jechali, że za pomału idziemy, bo nas co chwila przynaglali, a czasem kazowali biec, co się wystarczy. Niejeden słabszy nie wytrzymał, bo i upał był okrutny, zwłaszcza, jak przyszło iść po piachach, gdzie nogi wiązły po kostki. To też dużo poostało, i zbierali ich na wóz. Ale my reszta szliśmy wytrzymale, bo cożby sami jednorałowie z nieprzyjacielem robili, jakby my wszyscy poostali — aż doszli my do jakiejś wsi, gdzie nam kazali przenocować. Dali każdemu numero i kazali nam kwatery podług tych numerów szukać. Poszedł ja szukać tej swojej kwatery — ale czy ja to numera znam? Nałaziłem sie jeno po próżnicy i wreszcie — coż było robić? noc już przysiadła domy, i kwatery nie było widać — poszedłem w pola między żyta i położyłem sie spać

w całej zbroi. Zbudziłem się dopiero, skoro na zbiórkę rano zatrąbili... Zerwałem się co tchu, zdyszany przylatuję i staję w rzędzie za innymi... Starsi mię zawołali... Nie wiem, co im się na mnie nie widziało — czy to, że mnie rosa przysiadła, czy co insze — bo mię opatrowali dookoła i potem bili, aż... wstyd mówić... Nierozum ludzki, i telo powiedzieć. Bo coż ja im zawinił?

Drugi raz znowu, ale to już było po manibrach, kazali mi iść na wartę. Ja też ochotnie się zbierał. Przecie mi to nie było cudne. Co ja się na tę wartę z chałupy nachodził! Przyszła „warta“¹, to matusia: „Ty, Wojtek, pójdiesz“. Ja się nieraz i opierał, jak mi się nie bardzo chciało. „Czemuż raz Szczepan nie idzie? Ja zawdy będę chodził?“ Ale cobyś z matusią... Zawdy stronę Szczepana trzymali. Szło się z wartą do wójta, jak wiecie, i tam się przedstawiało, że warta jest, a potem się szło na szopę i spało się do rana... To też, jak mi przy wojsku kazali, ja się ochotnie zbierał. Tak, to rozumiem — na wartę — a nie na żadne egzeczyrki. Bo cóż to komu z egzeczyrek? Warta potrzebna; o tem ja już dawno wiedział. Zebrałem się i poszedłem, kany mię zaprowadzili. Przykazowali mi na odchodnem, cobych

¹ Znak (na wartę): czasem trąba, a czasem kawałek drewna w kształcie rozmaitym. Taka „warta“ ma w oczach wszystkich jakąś świętość, nietykalność, jak n. p. kapelusz władzy.

warty pilnował. O, nie bójcie się, ja tu „warty“ nie stracę. Myślę se: „To pewnie przy wojsku gwer „wartą“ nazywają. Dobrze się czegoś nauczyć. A powiadają, że człek się przy wojsku niczego nie nauczy. Bajtki!“ Tak se dumam rozmaicie i stoję na tej warcie. Ale mi się już za długo widziało — już mi się zaczął czas na dobre dłużyć — rozpatruję się dookoła, żeby to cnie nie jakoś zacyganić, i widzę niedaleko: wiśnia zieleniutka, a na niej czerwienią się wiśnie, jak pokusy. (Potem mi przyszło dopiero do głowy, że to djabeł pewnie tę wiśnię tam posadził, aby mnie skusić, jak drzewiej naszych ojców w raj). Pić mi się właśnie zachciało. Ja też, niewiele dumając, oparłem „wartę“ o budkę, podszedłem ku tej wiśni i wylazłem na nią.

Obieram wiśnie (słodkie były!) i daję poziór na „wartę“. Nie zjadłem może ze trzy garści — widzę: nadchodzi patrol ze starszym — słyszę wnet: wołają na mnie. „Ja haw!“ — odzywam się im, choć mogłem się i nie odezwać. — „Zaraz zleżę...“ Starszy zakrzyknął: „A gdzie warta?“ Ja mu powiadam: „Tam stoi...“ On znowu: „Tak pilnujesz?“ Ja, widząc, że się niepotrzebnie złości, aby go oześmieszyć, odpowiadam mu do składu: „Ja haw wiśnie obieram, a na wartę pozieram“. Nie wiem, czy ta odpowiedź tak go ozgniewała, iż nie czekał, aż zleżę, ino kazał mie żołnierzom ściągnąć i bił po pysku, po rozumie, ka jeno

w złości utrafił... Pytam sie: „Za co?“ a ten nic, ino sie jeszcze bardziej sroży. Nie koniec na tem. Pojmali mnie i zawlekli, bom iść o swojej sile nie mógł, do jakiejś ciemnicy i... znowu bili... Nie warto i gadać. Nierozum ludzki, i telo powiedzieć.

Trzeci raz znowu tak było: Kazali nam sie ubrać na paradę i wyruszyć na błonia. Tam miał przyjechać jednorał jakiś najstarszy, i mieli my mu sie przedstawić. Ubrali my sie, wzięli zbroję i wymasierowali. Potem my sie ustawili tak, jak nam kazali, i czekali my, co bedzie. Nadjechał wreszcie ów jednorał, cały we złocie, że aż oczy bolały od blasku. Serce sie wojemne we mnie zatrzepało... Widzę, nikt go nie wita, jak należy — wszystko stoi i patrzy sie, jak głupie. Ja też, niewiele myśląc, zdjąłech broń i wystrzeliłech mu na wiwat. Spodziewałech sie, że mi podziękują. Ale cobys z ludźmi... Zlecieli się ku mnie zewsząd i... znowu bili... Ja sie już i nie pytał, za co, bo co będę... Nierozum ludzki, i telo powiedzieć“.

Takie jeno historie Szczepan z wojska umiał, podobnych jeszcze trochę i nic więcej. Choć znali je ludzie wszyscy, bo jedni drugim podawali, jednak radzi je od niego słyszeli, bo śmiechu z tego było dużo. Jemu zaś było wszystko jedno, czy się kto śmiał, czy nie — tak śmiech jednako przyjmował, jak i udane litości.

I plątał się tak między ludźmi, właściwiej między strachem a rzadkim spokojem, to między

głodem a średnią sytością. Jak się przy czasie zdarzyło... Żył tak doznaku, jako ten zwierz leśny, trochę do ludzi wzwyczajony, ale więcej się ich lękający.

Nieraz któryś ze starszych gazdów postrofiwał go żartobliwie:

— E, Wojtuś, czy tam Szczepanku, popila ci się tak tłuc pomiędzy ludźmi? Masz kawalek, poszedłbyś i siedziałbyś na nim...

I słuszność była w tej uwadze, bo miał kawalek pola; matusia przecie nie zabaczyła o nim i zostawiła mu go w „destamencie“.

Ale też i Szczepan słusznie odpowiadał na to:
— Jakże będę na nim siedział, skoro hań śnieg...

Bo rzeczywiście, przez cały rok prawie leżał śnieg na tym kawalku. Kawalek ten był pod lasem w stromej, północnej uboczy. Najwięcej śnieg na niego spadał i najpóźniej z niego zląził — tak, że, chcąc z niego co zbierać, trza było chyba trawę siać; ale cóż z tego — kamyk był przy kamyku tak gęsto, i jeszcze jeden na drugim, żeby się już trawa przy nich, choćby jak igły cienka, nie zmieściła.

— Nima rady, chresny ojce! — jak powiada komornica Tekla, która też taki grunt po ojcach dzierży i podatek z niego święcie s płaca.

Tak więc Szczepan, choćby i usposobienia nie miał do chodzenia, musiałby rad nie rad cho-

dzić: bo czas miał, dużo czasu zbywało mu od uprawy tego macierzystego zagona.

A że miał usposobienie do marszów, do „manibrów“ i innych wolnych na powietrzu ćwiczeń, to i uprawę zaniedbał doznaku.

Ludzie czasem, gdy się z nim całkiem oswoili, gdy już wiedzieli wszystko, co umiał powiedzieć, i historje jego wszystkie znali i nie się już nowego od niego nie spodziewali — stali się dlań doku-
czliwsi, można powiedzieć: gromadnie zawzięci. Dawniej młodzież, a potem już i starsi straszili go „bronią“ rozmaita, tak, iż do reszty zdziczał. Latał po polach jak dawniej, ale zdaleka od osiedli — człeka gdy dojrzał, omijał, choćby mu potok padło przejść spieniony — czasem jeno ku małym bardzo pasterzom przyszedł zagrzać się, gdy ogień palili. Niewiadomo, czem się żywił: pono bukwie zbierał i łuszczył, co dziki poosta-
wiły, to znowu jawór pod lasem oblupił i skórę oną ssał dla słodkości, jaka się w niej ma naj-
dować — któż wie, co zresztą już nie jadał.

I żył tak, póki nie umarł.

W pamięci ludzkiej jeszcze ciągle żyje; serdecznie się uśmieją, gdy se go przybaczą lub przywiedą na pamięć jego opowieści: o jego woj-
sku, abo o tem, jak go to na Szczepana prze-
kręcili...

L I S

— Idź-że, przynieś co dzieciskom; widzisz, że głodne — rzekła lisica chłopu swojemu, który się iskał, siedząc na przyjamiu.

Obejrzał się nieładnie na nią, poczem złagodziły mu się oczy, gdy je powlókł po lisiętach, tarzających się u kolan matki.

— Tu i człowiekby nie nastarczył — począł mruzczyć. — Dopierom wczora przyniósł gęś, musialem za wodę po nią chodzić, i już nie staje. Jak tak bedziecie gazdować, to sie dogazdujecie niewesołego końca, przepowiadam. Teraz o żywinę coraz trudniej, ludzie stali sie postroźni...

— Nie bajdurz — przerwała mu lisica — ino się zbier z te ziemie i idź poszukać co, bo wnet bedzie polednie.

Lis się przeciągnął i ziewając, spojrział okiem wgórze.

— O, jeszcze słonko nie wyszło nad Gronie...

— Tak gadaj — szczeknęła lisica, złemi oczami patrząc — tak gadaj, że ci sie nie chce. Wolalbyś leżeć. Całemi dniami byś leżał. A żywina sama spadnie, jak szyszka, pod nogi. Możebyś chciał

jeszcze, żeby ja z dzieciskami znosiła ci pod nos wszystko — co? Pański byś miał żywot.

— Et, nie trzeszczałabyś... Co ty wiesz, kielo sie trza znaleźć, zanim sie co zdybie.

— A ty byś chciał, żeby ci samo do gardła wpadło. Letkobyś se chciał żyć. Ruszysz sie nareszcie, czy nie, ty płowy psie?! Może ja mam iść, a ty sie za mamkę najmiesz? Postarałeś sie o dzieci-ska, to sie teraz trap!

— Znam już, znam tę letanię...

Dźwignął się pomału i poszedł, nie chcąc słuchać dalszego trzeszczenia.

— Ino se wiedz, żebyś próżno nie wracał! — leciało za nim.

— Dobrze, dobrze! — mruczał, idąc. — Nima to, jak nakazować. Ozorem obytrnąć, i już. Po co ja sie też żenił? Jakech był sam, to: znalazłech co, tom znalazł, a nie, to nie — to mi nikt z py-skiem nie dojeżdżał. Było, tom zjadł — a nie, tom sie zaszył w gąszcz i przespalech dzień cały. Nikto mi poza uszy nie skowycił.

Szedł jakiś czas, zgryziony, i wcale nic nie myślał (stan u rodu jego dość częsty, wbrew twierdzeniom oszczerców), poczem znowu naszły go różne uczucia.

— Marne to lisie życie — biadał. — Szczęśliwy człowiek! Ten se u siebie w domu kury chowa...

Naraz przyszło mu do głowy:

— Czyby sie też i u nas nie chowały? Trza

spróbować. Żeby to dostać parę żywych... Już bych się ofiarował dzień pościć na tę intencję. Ba, kiedy to strasznie mdle, zaraz w łapach zdycha, choćbyś ją i najdelikatniej ujął pazdurami...

Idąc, rozmyślał nad tym pomysłem i uśmiechał się do tego widoku, jaki mu wyobraźnia przedstawiała.

...Pasą się koło jamy. Pasie ich się cały kerdel. Czarne, białawe, siemieniaste... Dzieciska swawolą z niemi — niby straszą je, jak koty młode, ale żadne się nie śmie tknąć. Ociec zakazał. A on se leży na przyjamiu i cieszy oczy tym obrazkiem...

— Żeby się jeno chciały chować!... Ale coby nie chciały? — pocieszał się. — Wytlómaczy się im, że i ludzie nie lepsi i nie dla ładnych piórek je chowają. A poszanowania nigdzie takiego by nie miały. Z miłością by się koło nich chodziło... Ino jak wytrzymać, coby się ich nie tknąć? Człowiek potrafi, bo cóż, i trawę może jeść...

Dla zaokrąglenia tych przedumywań dodał se jeszcze w myśli:

— Trzeba będzie ten pomysł przemyśleć przy czasie. A tymczasem musi się jeszcze starego zażywać sposobu...

Zatrzymał się i począł się zastanawiać, w którą stronę się udać. Za wodą wczora był, to tam pewnie dziś strzegą.

— Dziwnie nieprzewidujący ludzie...

Najporęczniej byłoby do chałup pod lasem, ale

dużo niebezpiecznie, za blisko jamy. Trzymał się starej zasady, i ludziom znanej: „Lis koło swojej nory nigdy kur nie dusi“. Od pradziadów ród jego, w tej okolicy mieszkający, trzymał się tej zasady; jak z tamtej strony góry miał osiedle, to tu chodził polować — a jak zaś tu się sadowił, to po tamtej stronie polował. Wszystko zaś na to, aby czleka zmylić, gdyby chciał swoich szkód rzekomych dochodzić na lisim rodzie. Tę zasadę jakiś pra-lis z przezorności mądrej ustanowił, i potomkowie jego trzymali się jej święcie, choć odkąd ludzie o niej się zwiedzieli, nie miała już praktycznie żadnego znaczenia. Była to tradycyjna przezorność — bez waloru.

Więc i nasz poczciwy lis nie myślał zmieniać zwyczaju: że tu osiedle miał, postanowił iść na tamtą stronę. — Daleko wprawdzie, bo trza obejść koleś całą górę i drugą stronę wrócić, ale widoki są...

Podumawszy niedużo, wybrał drogę dłuższą przez przyłaski, aby się niepotrzebnie z nikim nie spotykać. Długą chwilę biegł w ciszy — las poczynał już rzednieć — wtem zatrzymał go szmer; pojrzy w górę, bo szmer oczami prawie umiał łapać, i widzi wiewiórkę czarną, jak se siedzi na drzewie i pluje z wysoka, życząc mu „szczęśliwych łowów“.

— Dałby ja ci szczęśliwych łowów! — mruknał — żebyś nie była tak wysoko..

Udał, że coś sobie koło ogona poprawia, aby zaś nie myślała, że się dla niej zatrzymał, poczem spokojnie ruszył dalej.

Idąc, myślał z powodu tego wypadku:

— Poco też Pan Bóg niektórym stworzeniom dał taki talent, że mogą po drzewach chodzić, albo i w powietrzu latać. Jak i jastrząb... ten mi kureę, com ją upatrzył sam, z przed nosa weźmie, i lećże za nim! Niesprawiedliwość na tym świecie...

Ale wnet przestał bawić się myślami, bo już przyłaski się zwięzały, trzeba było baczyć pilnie na wszystkie strony. Przytem, biegnąc, z przyzwyczajenia raczej niż z umysłu zazierał pod jałowce, czy tam zając gdzie nie spi albo jaka żywina skrzydlata. Ale nic ciekawego po drodze nie zauważył.

Skoro przyłaski się skończyły, pomykał dalej potokiem, a wreszcie i potok się urwał, trzeba było potoczkami podkradać się nieśmiało ku górze. Ostatni z tych potoczków tracił się prawie pod osiedlem. Długo też w nim u końca nasz lis się namyślał, nim się odważył wyjść na równe pole. Naprzód oczyma zwiedził otoczenie, poczem słuch posłał wokoło na zwiady — i skoro nic znikąd nie zauważył niedobrego, ostrożnie wyszedł na widok.

W bliskości stało osiedle, ale żywej duszy nie było słyhać. Słońce prażyło; nasz lis też pomknął

pod sad ku cieniowi, stąd się rozgląda uważniej — ani słyhu. Wreszcie dobiega jego wyteżonych uszu dalekie jakieś gdakanie stłumione, jak z poza sześciu ścian. Już znał tę nutę ciemną, tak miłą uszom, a tak bolesną z oddalenia sercu. Chciałby ją zbliżka usłyszeć... Podeszedł ku ścianom, obszedł je, dopokąd zdołał, nadśluchiwał, ale nuta gdakania nic się nie zjaśniła. Ustał, uprzebierał nogami, nasłuchał się, aż lzy mu do ocz naszły, wreszcie rad nie rad zabrał się i poszedł w stronę sąsiedniego osiedla.

Idący dumiał:

— Dziwni ludzie... Niepotrzebnie kury do kojca zamykają. Kto widział! Ani powietrza, ani wody... One im tam do jednej wyzdychają.

W tym sensie rozważał chwilę, poczem zdwoił baczność, bo już osiedle drugie wystąpiło. Zachylił się pod miedzę i ostrożnie bardzo się podsunął.

Widzi... Kury na polu się pasą... cały kerdel... Ba, ale pasterz przy nich; pilnuje, obchodzi, zganiania, ani na chwilę nie spocznie.

— Też rozum! Kto widział kury paść, jak owce... A jakie one ładne, nietrwożliwe! Ej, żeby tak bliżej...

Napatrzył się z pod miedzy na nie, nawzdychał się niemało, i rad nie rad zabrał się ku następnemu osiedlu.

— Tam się już może poszczęści, już by był

czas... Dzieciska głodne czekają — pojrzał na słońce — już południe...

Zachylając się poza wysokie miedze, tak, że jeno szczyty dachów mógł widzieć, zapomynał się ku trawnikom. Miedza się właśnie kończyła. Wychylił łeb ostrożnie — i aż mu serce z radości zadrgało.

Widzi... kury się pasą na trawniku... nikogo przy nich... Mierzy oczyma przestrzeń, dzielącą go od tych kochanych stworzeń. Trochę za dalekawo... Żeby podeszły nieco bliżej... Namawia je oczyma — całym pragnieniem, całą wolą, wysyłaną ku nim przez rozkochane oczy, stara się je przywołać ku sobie. Szczególnie jedna mu się spodobała... puszysta, duża, siemieniata... Do tego koloru miał zawdy słabość niejaką. Więc uśmiecha się do niej miłośnie, prawie że tkliwie.. Naraz któraś z nich, głupia, ostrzegła. Podniosły wrzask i w nogi... Rozzłoszczony tem, wyskoczył i puścił się za niemi... W te razy wypadł pies od chałup z takim okropnym charkiem, jakby conajmniej wieś palono, i wprost naoslep pędzi... „Zjadłeś djabłów!... Cóż głupiemu stać na drodze?“ — pomyślał lis w tym momencie i warto zawrócił nazad.

Wnetki dopadł potoczka, pomknął nim wdół i zatrzymał się dopiero, skoro owo charczenie nieprzyjemne zcichło.

Zły był na siebie, że się dał strachowi prze-

jąć, ale większa złość jeszcze porywała go na wspomnienie tej mordy charkliwej.

— Bogdajby ci się padło suchemi tarkami żywić! Psie głupi, nieokrzesany...

Serdecznie nienawidził tego podłego plemienia, które, jak podanie niesie, miało jednego praojca z rodem lisim, a potem się zaprzedało na służbę do ludzi.

— Poco oni to żywią? Ani szczekać nie umie uczciwie, ani słuchu nijakiego nie ma, nic nie ma, coby się mogło podobać.

W tem podobieństwie złościł się, wypoczywając, wreszcie smętek go naszedł razem z cieniem, który od smreczków się dłużył.

— Słonko spada... Cień rośnie... Dzieciska tam już wyzierają... Matka się będzie złościć, że mnie tak długo nie widać. Niechże se idzie na drugi raz sama, niech się dowie, jak to legutko przychodzi. Chciałech przecie — ale trudno — nie poszczęściło się. Jak i teraz... Taka dobra sposobność!... i na nic — musiała ta psia morda przeszkodzić. Bestji dadzą żarcie, przyniesą pod gardło, to się jej zdaje, że nikt nie potrzebuje jeść. Żeby ja cię tak dostał... wziąłby ja cię, aj wziął na polewkę!...

Gwałtem myśl jego do psa powracała, a tu trzeba było coś postanowić, bo śródmieczarz się zbliżał. Zbaczył sobie, że jeszcze jest jedno osiedle. Nadzieja się przywróciła.

— Trza ostatniego szczęścia popróbować...

Zebrał się i ruszył w stronę, gdzie miarkował, że chałupy stoją. Dojrzał ich dachy nareszcie. Ostrożniej już podmykał się, wyszukując bruzd, wgłębin, zachyleń, aż niespodzianie znalazł się pod sadem. Sad był okrajnemi deskami otoczony. Więc wspiał się na tylnych nogach i zajrzał przez szparę do wnętrza.

Bardzo dobrze. Są w sadzie... Przeczuł je już, nim zajrzał. Są stare, są i średnie kokoszki, i młode jeszcze kurczęta...

— Z tych możnaby kiedy przy czasie wziąć parkę na chów... A tymczasem którą ze starszych trza będzie... I tak jej żywot nie wieczny...

Ale jak się tam ku nim dostać? Płot wysoki, szpary wąskie pomiędzy okrajkami, że ani łeb się nie przecisnie. Poczyna biegać dookoła, wypatrując otworu większego.

— Dziwni ludzie — myśli przytem — ogród bez furtki... Jakże oni tam te kury wganiają?

Nagle uczuł ból okrutny — coś go chwyciło za nogę ostremi zębami. Szczęki zaciął, żeby nie szczechnąć z bólu. Pojrzy — a tu łapa przednia między dwiema obręczami... W te razy słyszy krzyk: „Tuś mi!“ i widzi parę osób, pędzących jedno przez drugie od izby. Szarpnął się raz, i drugi — coraz straszniejszy ból — nie puszcza... Czuje, jak już żelazo gniecie kość... Moment — a ludzie doleczą...

Więc zbiera wszystką zaciętość — i bez namysłu: chrast! zębami — ugryza nogę potąd, potąd w żelazcach tkwiła — i w ucieki... Wszystkich sił dobiera w biegu, bo ludzie już tuż — z kijami. Na trzech nogach leci, jak na pięciu. Już, już potok — już lasek — obziera się — ludzie nie ustają... Więc dalej — dopadł lasku — nie zatrzymuje się — pędzi w potok — we wodę — nóg zgoła nie czuje. Wreszcie w przyłaski.. Zwolnił biegu, ale jeszcze nie bardzo dowierza, dobiera sił, byle dalej, byle jaknajdalej... Wreszcie już stąpać nie może — ból mu poczyna dokuczać. Siada na mchu i poczyna opatrywać nogę...

*

Ciemniło się już na dobre, kiedy nasz lis, kulejąc na trzech nogach, dowlókł się do miejsca, skąd zboczył był przed południem na prawo w przyłaski.

— Szczęśliwych łowów! — doleciało go z wysoka.

Pojrzy — ta sama wiewiórka czarna śmieje się, siedząc na drzewie, i puszcza mu na plecy lupiny ze szyszek.

Udał, że nic nie słyszy, i powlókł się dalej, stępkając ciężko, boleśnie. Wreszcie dowlókł się ku jamie.

— Tak wczas?! — wrzasnęła lisica i widząc, że nic nie niesie, ze zębami do niego: — Cożeś

przyniósł? Swoje ścierwo zdechle?! Żeby cię byli do reszty... psie płowy!...

Uchylił się przed jej złością i nie nocował w jamie. Wyszukał sobie w gąszczu kąć najciemniejszy — tam siadł na zdrowych trzech nogach i obficie łzy wylewając, płakał.

— Ludziom przecie jest lepiej — myślał, usatkwowawszy się w bólu. — Nie potrzebują szukać codzien na wieczerzę tej głupiej kury...

Trzeba dodać, że ów lis wcale nie znał miasta.

PRZYKRY MOMENT

Michał Kopytko, filozof z powołania, ze skłonnością do poezji, bez zajęcia, który mógł się nazywać Orzeł, a na imię mogło mu być Lew, szedł ulicą — przez to zaś, że się nazywał Kopytko nie Orzeł, nie mógł jechać. Szedł więc ulicą wielkiego miasta — miasta, powiedzmy, w całym słowa tego znaczeniu, w którym mieści się wszystko, co ohydne jest na ziemi.

Ale nie szedł, jak zwyczajnie, gdy się ma cel przed oczyma blisko, jak szli dookoła niego ludzie, którzy mieli przed sobą sprawunki. Co prawda, spieszył się jak wszyscy, ale pośpiech jego był nierówny, który nie przyczyniał kroków — widać było: nie zewnętrznym przymusem wywołany, raczej wewnętrzną gorączką. Gorączka była u wszystkich — ale podczas gdy u tamtych była gorączka zwykła u „biegaczów“, gorączka jego była do snu, do halucynacyj zbliżona, czyli naturalna.

Ludzie, mijając go w pośpiechu, spychali go z chodnika co chwila, wreszcie wypchnęli go na

jezdną ulicę; nie wracał już na chodnik, bo tu się swobodniejszym widział, mógł ramionami wymachiwać, całym ciałem swoim poruszać według woli.

A gesty miał królewskie, jak łazarz sycylijski. Szedł dalej środkiem ulicy, czuł wagę siebie idącego, a razem lekkość, jakby uskrzydłonym był. Czuł się ideami napęczniały, jak balon.

W tem przepelnieniu ducha wyrzucał słowa bez związku, pianę kipiących, wrzących w sobie myśli. Pozbywszy się w gorączce onego wywaru, ostygwał zwolna na mózgu, i słowa mu się układały już w jakieś łatane zdania.

— Dusza jako synteza... objawienie!... Niech żyje Kopyt... Głupia nazwa.. przybiorę sobie pseudonim... naprzykład... Serafinis... nie... we mnie musi być początek... początek nowej myśli... Ariel... nie, to także seraficzne... Trzeba jakieś tajemnicze... nowe wcielenie... Wisznu... to już było... Centaur!... Tak jest!... Że ja też na to od razu nie przyszedł... Centaur myśli!... Symboliczne... i racjonalne, bo mieści się w tem rodowe Kopytko... Rebus dla głupich... cha! cha! niechże mają, skoro im się samo Kopytko nie podoba. Teraz muszę tylko księgarza znaleźć, coby tę ideę nabył... Dlaczego on sam mnie nie szuka? Dobry księgarz powinien wiedzieć, gdzie się idea nowa narodziła... „W Betlejem przy drodze jest zła szopa srodze“... Ktoś to mówił... zaraz... kto to

mówił, że księgarze — jak Herody, a myśli — jak niewiniątka... Ale ja się ustrzegę, ustrzegę!... Pojedziemy do Egiptu... Osłów tu nie brak... Poczem, gdy czas nadejdzie, wrócimy... Triumfalny wjazd... Niech żyje Kopyt... właściwie Centaur!... To się samo przez się rozumie, że i Kopytko — niby kopytko centaury. Poczem pocznie się rozprawy z faryzeuszami wiedzy... Ach, ci dostojni ślepcy, rozprawiający z powagą o cudach barw!... Pocznie się wyklądać pisma... Zdumienie... mało... przerażenie!... Kolumny systematów w gruzy... i nowy wstaje gmach na fundamentach poznania... Jam jest... nie przeto, iż myślę, ale iż świat się we mnie uświadamia... Jam jest jeden z tych schodów ku górze... ku ostatecznej Syntezie... Konieczny...

Duma podnosiła mu aż włosy na głowie razem z filcowym kapeluszem, i uczucie rozpierało go, jak wiatier miech brzuchaty; ramionami zaś skrzydłował na podobieństwo wiatraka.

— Gdzież Moc, którejbym mógł hołdować?... Objąłbym ramionami morze — ręce rozwierał, poczem podniósł je wzwyż. — Gwiazdy bym zgarnął, ucałował..

Ktoś przechodzący na poprzek ulicą potrącił go i zbudził do uwagi. Powiódł wzrokiem dokoła i widział ludzi spieszących, jak przez mgłę, widział wystawy, światła, cienie — wszystko to wydawało mu się snem.

— Ja jeden.., jeden!... Dziwne... tyle wieków... Spieszą i nic nie wiedzą, że ktoś im niesie skarb...

Szedł dalej i śmiał się cicho, jak człowiek, który jeden wie o skarbie skrytym.

— Objawienie!... powiedzą... genjusz!

Umysł mu się w oszłomieniu zakręcił. Docho-
dził właśnie do rogu.. Naraz turkot — krzyk
krótki — jeden moment — i oto przyszły nasz
Centaur leży na ziemi z rozmiądzoną czaszką.
A obok niego wóz i szkapa ze zwieszoną głową.

Lud się gromadzi. Wnet utworzyła się ciżba
dookoła wozu. Ludzie, spieszący się bardzo, stają
na chodnikach, rozpytują się ciekawie: Co się to
stało?

— Nic, człowieka wóz przejechał.

Wnet zjawila się policja w osobach stójkowego
i cywilnego pana.

— Kto winien?

Woźnicę aresztują.

— Winien jest ślepy koń. Ślepy koń zabił czło-
wieka. I zaraz uogólniono:

— Ślepy koń zabija ludzi.

Nad leżącym zabitym radzono. Szukano na-
przód przyczyny. Ślepy koń — tak, to policja
twierdzi. Ale to narodowi nie wystarcza.

Ktoś podsunął:

— Musiał myśleć idący...

— Tak jest. Stanowczo musiał myśleć.

I zaraz wywnioskowano:

— Niedobrze jest myśleć.

Ktoś poprawił:

— Myślenie jest niedobre.

Druga prawda.

Zaczem, gdy doszli przyczyn, zastanowienie ich objęło nad wypadkiem, które przerywał co chwila człowiek ambitny, wołając:

— Ja widziałem!... Wóz jechał — on szedł... I nagle słyszę krzyk... On już leży.

— No powiedzcie: szedł sobie, szedł, i tu naraż...

Ktoś współczujący dodał:

— To przykry moment dla niego.

Ironista:

— To gorsze, że ostatni.

Człowiek ambitny (do nowych osób):

— Ja widziałem! Wóz jechał — on szedł...

I opowiadał z coraz większym zapalem do końca.

Ksiądz przechodzący zatrzymał się i uważał za stosowne wyrzec:

— Wszchemoc Boska.. Niezbadane sprawy... A nie znał go kto, jak on się prowadził?

Ktoś się wyrychlił:

— Ja go znałem. Przychodził często do mleczarni. Dziś rano jeszcze był.. Człowiek, widziało się, dość uważny. No i powiedzcie...

Po cichu sobie pomyślał ze smutkiem.

— Już nie przyjdiesz ty, biedaku, do mleczarni...

Potem weselej:

— A ja jeszcze... Trzeba tylko zdwoić baczność na wozy przejeżdżające...

Zaczem refleksje objęły naród. Jakiś chemik czy stolarz profesyjny powiedział sentencję smutną:

— Człowiek, to tak, jak balon...

Inny:

— Nikt nie wie, na jaki koniec przyjdzie...

Optymista:

— Mógłby być jeszcze pożyć lat niemało...

Człowiek spokojny:

— No, ostatecznie i tak by był umarł.

Człowiek czynny:

— Chodźmy! Szkoda czasu.

I poczęli się rozchodzić pomału. A nasz Kopytko leżał oczywiście. Idee nawet nie fruwały nad nim w postaci białych motyli.

JĘDRZEJ BAJA I POWIEŚCIOPISARZ

W Zakopanem żył Jędrzej Baja. Choć mógł żyć i gdzieindziej; ale dla historii prawdziwej potrzeba, aby tu żył. I nie doznaku się tak nazywał; ale cóż tam o nazwisko, aby jeno człek był, jakiego potrzeba, a takim znowu doznaku był ten Jędrzej Baja.

Był to człowiek dość starawy i dość samotny na świecie. Dzieci tam jakieś miał pomiędzy ludźmi, ale te się i mało o ojca troszczyły; nikt se głowy nie zaprzętał jego żywobyciem. A to żywobycie jego nijakie było, poprostu powiedzieć. Opatrzność dość nierzadko przymykała swoje łaskawe oko trójkątne na jego oczywistą potrzebę — no, jednym słowem: nędza go morzyła. I nieraz zabiadał w sercu na ten mizerny żywot swój, a przytem Panu Bogu dużo przykrości pocichu powiedział, iż się nie stara o niego jak należy, lecz go przy inszych pomija, jakżeby już takim ostatnim dziadem był, nie gazdą.

I raz przy takim biadaniu przyszło mu na pamięć, jak się to Sabale przy podobnym schyłku

żywota dobrze na tej ziemi wiedło: jak go to ludzie honorowali, gdzie zaszedł, jak go to panie z Warszawy zapraszały na wieczór do siebie i częstowały herbatą, koniakiem... Ino mu było żyć a nie umierać. A to wszystko ino za to, że im Sabała umiał opowiadać. I pomyślał sobie Baja:

— Mozeby sie puścić na ten talant..

Wiedział on, co prawda, że nie ma w sobie tego składu, co Sabała miał, ale se dumal:

— Spróbować nie zawadzi. Na głupości ludzkiej zarobić, to nie grzech.

No i zaczął próbować. Zaczął zmyślać historie na podobieństwo Sabałowych i nachodzić ludzi, o których wiedział, że Sabały radzi słuchiwali. Ale mu się zrazu nijak nie szczęściło. Ludzie, skądinąd dobrzy, odwracali się plecami i wyraźnie dawali poznać po sobie, że go słuchać nie chcą. Baja wiedzał, co prawda, że te historie nie takie są, jakie mają być, i nie dziwił się, że ich nie słuchają, ale mimo to gniew go na ludzi porywał. Zanadto ich letko ważył, żeby im darować. Nieraz też szepnął dobrodusznie:

— Pockajcie, psie... ja was tu przymusę...

I coraz większej śmiałości nabierał; napadał ludzi całkiem przemęczonych, którzy go radzi nieradzi słuchali; po drodze idący przyznawał się do znajomości z kim tym, aby mieć słuchacza, a gdy ów człowiek zdumiony powiadał, iż pierw-

szy raz jest w Zakopanem i pierwszy raz dopiero niby Baję widzi, Baja spokojnie zaprzeczał: „Przecie-ście byli łońskiego lata... nie? Toście se musieli zabaczyć“.

I nic go w tej drodze ku świętemu celowi nie zrażało. Zaś najochotniej zwracał się ku paniom, jakoby przeczuł w rozumie, iż łatwiej jest u nich powodzenia nabyć i zrozumienia dla swoich talentów. A wreszcie czasem nabierał i wprawy, i dużo składniej już mu się bajało.

Minął rok jeden, i drugi — Jędrzej Baja stał się osobą znaną w Zakopanem. Opowiadano o nim po Warszawie — to też panie, z Warszawy tu przyjeżdżające, musiały go koniecznie widzieć, słyszeć, aby znów mogły o nim opowiadać.

Przyjeżdżały po niego fiakrami, zapraszały go na wydziór, tak, iż nie starczył wszędy być, gdzie go proszono. Dawał się częstować, pić, nawet uwielbiać się nie bronił — w miarę skromnym był, nie przesadzał.

I dobrze mu się wiedło. Coraz częściej zdarzało się, że wśród zgromadzeń większych opowiadał, a słuchali go jak ojca, nikt się na głos oześmiać nie ważył, choć tam i młodzież letkomyśląca bywała. Opowiadania jego krążyły pomiędzy ludźmi, już nawet trafił się taki, co je chciał spisywać.

I sława Baji rosła, a on się wsłuchiwał w nią — bystre miał ucho — i uśmiechał się do swoich

myśli, z którychby się nikomu nie zwierzył, chyba gdyby spotkał człeka do swej upodoby. Hyr szedł po ludziach. O nikim gwary nie było, ino o Jędrzeju Baji. Gdzie się ruszyć, to: „Jędrzej Baja — Jędrzej Baja“ — słyszało się ustawicznie, i zdawało się, że i krowy już i woły na tę nutę ryczą.

O Sabale doznaku całkiem zabaczono; tem łatwiej, że już umarł, a Jędrzej Baja żył. I on też tylko wspomniął o nim czasem:

— Nieboscyk... Boże, świeć mu ta, jak mozes... Narobił on dużo zła na świecie... I talantu takiego ni miał, jak sie niektórym zdajało... E, tak ta bajał, jak mógł... Zeby żył dziś, toby sie mógł odemnie przyucyc... nie chwalecy sie, bo wszycko w rękach boskich... i talant i wszycko, cego ludzie mi maja.

To mawiał głośniej, zaś pocichu trochę se inaczej myślał. Czuł on w rozumie, że po śmierci znowu Sabale trza będzie ustąpić, ale mu ta poprawdzie o to nie chodziło; chciał jeno dożyć, jak Sabala, w poszanowaniu doczesnem.

Tego dopiął uczciwie, i znał granice swojego talantu.

Jeno niekiedy cicha obawa go naszła, czy się też, broń Panie Boże, nie trafi człek taki, jak natenprzykład nieboszczyk Sabala, coby zechciał o tę mizerną sławę hapelować... Wtedy kto wie, jakby było... Ludzie są tacy dziwnie nie jednacy...

czasem im to, czasem owo... gotowi by o Baji zabaczyć...

Ale to rzadkie były wątpliwości. Na nic takiego się nie zanosilo. Ludzie Baję honorowali, jak dotąd — jeszcze bardziej — a on im opowiadał. I wszystko było dobrze.

*

Aże w jeden czas, zdarzyło się, przyjechał do Zakopanego sławny powieściopisarz.

— No, nic. Przyjechał, to przyjechał, to znowu pojedzie.

Ba! ale ledwo dzień pobyl, a już tyle o nim dzwonoów, coby tu rok conajmniej siedział.

Wszystko się o niego dopytuje, gdzie mieszka, jak, co, gdzie wiecezre jada — mało, że się o in-sze rzeczy nie pytają, gdzie po wiecezry chodzi przed spaniem, i tam dalej. Z dnia na dzień coraz gęstsza idzie o nim gwara.

— Nic to — myśli se Baja — nowość, to zawdy ciekawi... I ja by go tyz chciał widzieć.

Ba! ale gorzej. Nikto już Baji nie chce słuchać. Tak, jakby naraz wszyscy o nim zabaczyli. Wszystko jeno tam patrzy, tam myśli — tak, jakby wszyscy ludzie szybami się stali, poza którymi widać jeno powieściopisarza. I powtarzają historje o nim, i jego powieści znowiają — o opowieściach Baji zaś glucho, jakby ich nigdy nie bylo.

— Ho, to już źle, nie dobrze.

Jędrzej Baja naprawdę się strwożył. Ale go jeszcze więcej ciekawość paliła.

— Kiz to djabli... Coz on ma? Cy to, co ja — cy to, co Sabala?

Od odpowiedzi na to zależało, zdawało mu się, dalsze jego żywobycie na tym padole. Szukał jeno okazji, jakby się dowiedzieć o tem.

No i trafiła się wreszcie okazja. Zapowiedziano odczyt owego powieściopisarza w Czytelnni Zakopiańskiej, jako że będzie raczył czytać na głos swoją najnowszą opowieść.

Zawrzało po całym mieście — (jeno Tatry stały spokojne jak dotąd) — każde, co się jeno ruszać mogło, zbierało się i gotowało na ten odczyt. Nawet w Sanatorji całkiem już umierające miękczyły łzami doctora, coby ich wypuścić.

No i nasz Jędrzej Baja gotował się. Co stracić, to stracić — to chciał tego powieściopisarza nacznie uwidzieć i usłyszeć opowieść jego, aby móc zmiarkować, co on ma w sobie, że go tak już sławią: czy to, co on (niby Baja) — czy to, co Sabala?

Ubrawszy się przystojnie, skoro czas było iść, poszedł. Stracić, to nic nie stracił, bo go te panie, co przy biletach siedziały, bez opłaty na salę puściły, jako że znały go dobrze; i wszyscy go tam prawie znali.

— Niedawno jesse... — pomyślał se gorzko. —

Ale co ta... wszystko może się znowu na dobre odmienić...

Wszedł na salę i stanął se przy bocznej ścianie, niedaleko stołu, aby móc widzieć i słyszeć dokładnie. Pełno już narodu było; pań, jak zwyczajnie, najwięcej, tak, iż się panowie stracili pomiędzy niemi. Gorąco też było setne i zaciekawienie na twarzach okrutne. Prawie na sam czas trafił, bo drzwi się otworzyły i na estradę wszedł powieściopisarz. Pan był, jako zwyczajnie panowie, niczem się wiele nie różnił.

— No, nic — przerwał se Baja obserwację. — Słuchajmy...

Bowiem, gdy umilkły oklaski powitalne, powieściopisarz czytać począł. Baja szyję wydłużył i słuchał bardzo uważnie. Widać, więcej chciał wymiarkować, niż samą ową opowieść. Słuchał pilnie, w skupieniu; a serce mu się trzęsło. Wreszcie, skoro już powieściopisarz prawie do połowy w czytaniu doszedł, Baja odetchnął. Mniej już potem uważał, rozglądając się po zebranych w sali, i chwilami uśmiechał się do myśli swoich. Zrozumiał, co chciał zrozumieć — i już go opowieść dalej nie tak ciekawiła.

Powieściopisarz skończył, zszedł z estrady — oklaski go odprowadzały. Skierował się ku drzwiom bocznym i przechodził właśnie obok Baji. Baja w te razy łokciem go nieznacznie trącił i przymrużując oczyma, tajemniczo się uśmie-

chał. A gdy powieściopisarz, tem zdziwiony, zatrzymał się, pytająco patrząc nań, czego-by chciał, Baja schylił się ku niemu i szepnął:

— My oba ino wiemy...

A widząc zbliżające się panie, dorzucił:

— Ale nic... spokój... pst...

Korzystając z okazji i widząc, że jeno z górami rozmawia, najbliżej stojące panie przystąpiły do powieściopisarza.

— Ach, jakie to wspaniałe!

— Kiedy to pan wydrukuje?

— Czy to prawda, że pan nas już opuszcza?
i t. d. albo tp.

Baja zdołał jeszcze szepnąć:

— Kaz będziecie jeść wieczerę? Bo bych was chciał spotkać...

Powieściopisarz nie wiedział, komu odpowiadać.

Baja: — To nic, to tak zwyczajnie... Ino sie trzymajcie ostro. Juz was nie trapię, bo sie i tak spotkamy.

I odszedł. Powieściopisarza wzięły w koło zachwycone, rozanielone z zachwytu niewiasty.

*

Zakończenie, jak najzwyczajniej, u Płonki.

Gdy powieściopisarz po kolacji, pragnąc niby samotności, przystał w szynkowni — wsunął się

Baja, który już długo w bocznej salce czekał i przeze drzwi pozierał, rychło się tam wypróżni.

— No, to my się naleźli!...

Powiedział to tak radośnie, jakby skądś zdaleka szedł i szczęśliwym trafem go napotkał.

— Nie będzie wam za przeszkodą?

Nie czekając odpowiedzi, wziął stółek i przysiadł się do stołu.

Powieściopisarz, myśląc, że Baja okazji do napitku szuka — a znał go już z opowieści i wiedział, iż z gośćmi bywa poufały — zawołał o jakiś trunek.

— Nie zawadzi — rzekł Baja — przy tem się i lepiej gwarzy. Wiecie... takich ludzi, jak my dwa, to ze świecom sukać. Ja was odrazu pojął, jakeście ino do połówki w tym cytaniu došli. Tak zgrabnie umiecie owijać wsyćko, ze sie widzi: scyra prawda. To właśnie nie byle kto potrafi. Ja juz ten talant prowadzę oddawna — i powiem wam: nie sie tak nie udaje ludziom, jak taka rzecz, co doznaku do prawdy podobna, a całkiem nieprawdziwa. A kiedy ją jesse przybrać umiejętnie — słowami niby, coby wyglądała jak natenprzykład niektora z pań, co to powiesia po sobie rozmaite siorce, a widzi ci sie: scyry jedwab — to to, moiściewy, strasznie sie ludziom udaje. Ho! ho! bo ludzie miewają wżrok bystry... Bliskich rzeczy ino nie oźrózniają. Ale to sie i bydlu przytrafia. To tak naprzykład, wicie, jak

z temi portkami... (Podniósł nogę na stół i pokazał). Prawda? Sukno, jak zwyczajnie? Niby wyrobione rękoma... He! he! A to o połówkę tańse — masynowe. Ale nikt zbliska nie ozezna.

— Powiem wam... bo ja ten talant oddawna prowadzę, to mi nie dziwne... Ludziom zawse taką ostrość na twarzy pokazujcie, jakby o wielgą rzecz chodziło. Wy sie w duchu możecie śmiać, ale broń Boze wam to pokazywać. Juzby wam nie uwierzyli na drugi raz. Wiecie — ja sie trochę od ludzi ucył, a trochę ze siebie... I księza na jambonie tak sie sprawiają. Latego naród słucha, wierzy i nieraz nawet niejeden sie zbecy. Tak trza i tu... Ale co ja wam bede gadał, kiedych widział dziś, że wy to umiecie.

— Ależ... kiedy ja to naprawdę... ze serca... szczerze... — jąkał zdumiony więcej, niż urażony w dumie swej, powieściopisarz.

— No, przecie my tu sami, to nie potrzebujecie gadać... Ze mną możecie być tak jak ze sobą, bo ja ten talant oddawna prowadzę.

Ludziom trza, coby uwierzyli, ze to scyrze, bo oni wsyćko naprawdę bierą. A tu cłekowi przecie o to idzie, coby sie i uśmieł, i ubawieł głupością ludzką, i zarobieł przytem — no nie? Przecie to nie grzych. Na to Pan Bóg jednych stworzył, coby sie drudzy z nich śmiali. Ale ludzie niektórzy sami nie wiedzą, cego chcą. Chcą niekiedy od cłęka, coby i smutnie opowiadał. Do-

brze — ja i to potrafię. I tak bywa: Jedni smutne historyje opowiadają, a drudzy smutnie słuchają. A potem jedni i drudzy się cieszą. I tak jedni drugich cyganią, jak mogą.

Baja, wypiwszy widać trochę dużo, głowę zwiesił i chwilkę się zadumał.

— Jakby cłek chciał gadać scyrze, toby musiał nic nie pedzieć...

Zerknął przytem na powieściopisarza, czy go nie zdumiał takim mądrym zdaniem — bo nie musiałby być Bają, jakby tego nie zrobił — a widząc, że powieściopisarz słucha niby nie słuchając albo udaje, iż nie rozumie, do czego Baja prowadzi, wrócił do poprzedniej gwary.

— Tak, moiściewy kochani... Wsyćko w ręku boskiem... to jest... chciałech powiedzieć: wsyćkiemu cłek da radę, jak ino chce. I ja nie mało podeznał, zanim-ech na ten talant przysel... Teraz mi się juz, chwała Bogu, doś dobrze wiedzie. I wam się będzie wiedło, ino se tak pocynajcie, jak wam doradzam. Bo ja ten talant oddawna prowadzę, to mi nie cudne. Tak se nic nie dejcie po sobie pokazać, że to nie jest was talant, ba przeciwnie, coby każdy wierzył, izeście się z tem urodzili. Wsyćko od Boga...

— A co zaś do tych historyj, co opowiadacie, to najlepiej zdaleka — tak coś nie coś — niby o pogodzie — że to niby nie o tę rzecz idzie... A potem bliżej, coraz bliżej... o samej rzeczy... o cem

wam ta do głowy przydzie. A jakbyście zaś, wiecie, utknęli w połówce — bo i to sie moze trafić — i nie wiedzieli, co dalej, to najlepiej nie pokazować po sobie, ino o cemsi pocąć, natenprzykład: o płocie, co sie go na drodze spotka, abo o przelatującym piesku... historyja sie bez to jesse prawdziwsa wyda, a tymcasem dalse przydzie. Choć to w pisaniu moze nie potrzebne, bo macie cas podumać. Ino, jak powiadam: górnice! zawdy górnice!...

— Choć niby o nicem, to tak, jakby o wielgą rzecz chodziło! Tak, moi mieli. Ale widzę, ze wam sie juz dłuzy, boście sie tyz i doś dziś natrudzieli... No, ostańcie z Bogem. Spotkamy sie kiedy, to se znowu ugwarzymy. A nie zabaccie zapłacić i za mnie. No, miejcie sie dobrze.

I wyszedł Baja... a powieściopisarz ostał jescze... dziwnie rad, że w bliskości nikogo nie było.

JAK JĘDREK ŚKLARZ PO WŁOCHACH JEŹDZIŁ

*Leopoldowi Staffowi,
na przypomnienie Cervary*

Jędrek Śklarz, młody gazda, pojechał do Ameryki. I całe lato minęło, a nie dał znaku o sobie; ani do żony nie napisał, ani pieniędzy żadnych nie przysłał. Aż niespodziewanie pod jesień przyjechał. Zaraz gruchnęło po wsi — i w najbliższą niedzielę zeszli się ludzie bliżsi do jego chałupy wywiedzieć się, jak tam co porabiał, dużo pieniędzy przywiózł i usłyszeć ciekawości o morzach, o lądach. Po przywitaniach zaraz jęli się go rozpytywać.

— Jak tam w tej Hameryce? Jak wam się tam wiedło?

— Ja nie był w zadnej Hameryce.

— To-ście ka byli bez teli cas?

— Ja jeździł po Włochach.

— ??

— Coz tak patrzycie.. Gadam wam, zech po Włochach jeździł. Byłech w Tryjestrze, w Wenecji i Bóg wie jesse ka. Ale musę wam skraja opedzieć...

Poprzybliżali się. Zona Jędrzka też się przybliżyła, choć już słyszała tę całą opowieść. Jędrk urósł w jej oczach. „Do Hameryki to sie tak widzi, jak za miedzę. Kazdy tam jedzie. Ale do Włoch!... To ino jeden ksiądz probosc tam był, i teraz jej chłop drugi“.

Jędrk Śklarz bez dużych próśb opowiadać począł:

— Jak wiecie, wybierałech sie do Hameryki. Ale ze to wsycy jadą bez Hamburg, ja se udu-mał pojechać na Tryjestr. Bo ja juz taki wse był od casu przekorny. No i nie wiem, jakim cudem zwiedzili sie o tym moim zamyśle w Tryjestrze, bo mi przysłali papiery, jak, ktorędy mam jechać, i pisali, coby ino piniądze posłać, to tam juz będą cekać na mnie ze sifkartą i zabierą mie ze sobą na morze. Ja też, duchem świętym nie natchnio-ny, usłuchałech dobrej rady, bo mi sie taka w-działa, piniądze posłałech naprzód i pojechałech do tego Tryjestru.

Przyjezdzam tam, wysiadam, obzieraam sie po stacy — nikogo nie widzę. Juz mie cosi w serce pikło. Ale nie tracę humoru, chodzę tu i tam, po- patruję — nie, nik sie nie nawija.

Idę na miasto, spytuję sie, ale trudno sie z nie- mrawcami zgwarzyć. Jeden pojrzy, rusy ręca- mi — odejdzie; drugi tak samo; trzeci cosi za- mamrota — kabys go zrozumiał; a jest i taki, co sie oześmieje. Mnie juz złość porywa — myślę se:

„Kieby tu moje były rządy, tobych was nauczył, jak sie do cłeka porządnego gada“. Na szczęście trafił sie Słowiak, i ten mi dopiero pokazał, jak ech mu opedział wsyćko, kany sie mam udać. Zachodzę — gmasysko wielgie, jak ministeryjo, drzwi moze ze sto: do ktorychze tu zapukać...

Pukam skraja, wchodzę, powiadam jak i co — posyłają mie dalej. Idę dalej — tam to samo.

I tak do dziesięci razów. Nareście niby trafiłech. Powiadają mi: Było tu coś, ale niewiadomo, ktoś — powiada — papierów zazaądał, ale piniądze — powiadają — nijakie nie przysły. Tak ech zrozumiał niby z tego, co w jakimisi języku gadali.

Ja tez wpadł w złość — co myślicie, na taki interes — jak nie zacnę teremtetować!... „Cy ja was sukał, psie jakieś? Kto mie do jazdy namawiał? Ka piniądze? Oddejcie mi tu zaraz, bo jak nie, to...“ Juz nie bace, com im ta powiedział, bo sie strasnie zhonorzyli, zech to ich niby obrazieli, i wypchnęli mie na ulicę, powiadając, ze jak drugi raz tam przyde, to mie do policyi oddadzą.

Zeby to było tu ka blizej, w Nowym Targu, abo w Sący, tobych tak prał był skraja... Ale coz — tam miasto wielgie — narodu moc — wspaniałość strasecna... Moze jaki cysarz akurat przejezdzać, i ujrzy, i bedzie źle. Potem przysło mi na myśl: „Kazby oni piniądze zacyganili, kie to widać państwo duze — takie gmasysko, jak dziesięć kościołów — urzędniki powazne, jak

u nas starosty... Kto wie, może pieniądze w drodze ka zginęły, może jeszcze nadejdą... Ale jakże ich przeprosić, skoro ich tak skłął? No może — myślę — na jutro się udobruchają...

Posełech w miasto, natrafiłech na restauracyję i z tego strapienia opilech się tak, że nie bacę, jakęch noc ka przebył, bo-ch się na drugi dzień znalazł, sam nie wiedziałech ka. Zgratałech się i patrzę — jakzeby mie kto pałką w łeb uderzył... Ratunku! Wszyscy święci!... Ka oko dojrzę — woda, woda i woda...

— Toście się pewnie nad morzem naleźli? — wtrącił ktoś ze słuchających.

— Juści ze nad morzem. Ustałech, udumałech — ba! kanych ta dumał! — patrzyłech się poprostu zgłupiały... wręście myślę:

— Bedę miał cas patrzeć, jak pojedę.

Skierowałech się ku miastu. Jeść mi się zachciało; mam wstąpić ka do jakie restauracyje — ale mie cosi w serce pikło, pomacuję po kieseni — oho! bedzies-ta! pieniędzy nie cuję. Sukam dalej po sobie — do ostatka nima. A miałech jeszcze ze sobą kielkanaście srebla na wypadek. Co robić? Stoję głupi, i coraz mi jest gorzej. Wnetbych był siadł na ulicy i płakał rzewnemi łzami.

Przewycięzyłech się wręście. No darmo — niesczęście. Posełech prosto ku tej stronie, kanych miarkował, że panów wcorajszych najdę. Nałaziłech się niemało, ale-ch wręście znalazł. Ino mi

juz było duzo nieśmielej, gdych wchodził. Wcora miałech choć trochę przy sobie, a teraz bez graj-cara — widziało mi sie, ize kazdy wie o mojej zgubie. Przyjęli mie tak, jakzeby mie piersy raz widzieli, nik wcorajsego nie przybacyl, ino nie chcieli ze mną gadać. Co ja do którego, to ten sie odwraca — i tak z koleje. Prosem ich najpiękniej jak mogę — niktora psia nie słysy. W końcu ich juz ze łzami prawie molestuję... Dopieroz nastatku pokazali mi drzwi — i na tem koniec. Wyselech na ulicę, jak całkiem pijany. „No to juz amen“ — myślę sobie — „teraz-es juz, Jędrku, gorsy, niz najostatniejszy zebrek. Piniądze djabli połknęli, i terazes juz na boskiej opiece. Kany sie rusys? W jaką stronę? Ani drogi nie wies nazad bez telo krajów, ani o cem isć, choćbys i na piechty wracał...“

Tak biadałech nad sobą, popłakując, i błaka-lech sie po mieście, zgłodniały. Potem do Pana Jezusa, do wsyćkich świętych, ka jeno jaki jest, mówilech paciorki, coby sie zlutowali nademną i wydobyli mię z te biedy.

I, widać, wysłuchał mie któryś ze świętych lutośniejszy, bo usłyszałech naraz naską, wyraźną mową — ino ze z pańska — zapytanie:

— Skąd-ze wyście?

Aze mi serce skoczyło z radości. Pojrzałech, i widzę przed sobą osobę ślachtetną — no, pan był jednym słowem, a mnie sie wtedy przywidziało,

ze janiół z nieba umyślnie posłany, coby mie zbawił.

— Ja, prosem pięknie ich miłości jaśnie wielemoznego pana, ze Saflar, od Zakopanego.

— Zaraz-ech was — powiada — po stroju poznał. A coż wy tu — pyta sie — robicie?

Ja mu tyz opedział skraja całą, jak była, historyję az do ostatka. Wysłuchał grzecnie i powiada:

— No, to coż teraz myślicie?

— Nic nie myślę — odrzekę — ino cekam opatrności, moze sie zmiełuje..

Popatrzał na mnie, obejrzał mie od kyrpców do kapelusa.

— Ładny — powiada — strój macie...

— E, tak ta, nieostatni...

Uprzypatrował sie mi jesce, udumał cosi, udumał, wręście powiada z wysoka (juz mi nie dwoił):

— A nie zgodziłbyś sie do mnie za lokaja?

— Hm, cy ja tyz wiem... — odrzekę, a bardzo mi sie niemile zrobiło. Lokaj, to juz najostatniejsza służba. Odzywam sie nieśmiało:

— Ja by tyz chciał ku chalupie sie dostać...

— No dobrze — powiada na to, trochę przychmurzony — dostaniesz sie du domu. Sam cie zawiezę, bo i ja do Zakopanego pojedę tem latem. Ino teraz jadę do Włoch; mógłbyś ze mną pojechać, powiada, przydałbyś mi sie w drodze...

— Ho, jak tak, to z całym sercem przystaję! — zawołał. Choć-ech ta i nie wiedział, kany te Włochy, ani choć mi ta i nic o zasłudze nie napomknął. Taki pan jasny — pomyślał — to mnie nie skrzywdzi. Pocałował go w rękę.

— No dobrze — powiada — ino stroju nie odmieniaj.

— Poczobyh odmieniał — rzekę — zreść i ni mam za co...

Dał mi zaraz na obiad i pošli-my oba wraz — to jest niby on naprzód, a ja nazadku, bo tak mi nakazował chodzić — do hotelu.

Taka, moiściewy, była opatrność na mnie, co mnie po Włochach obwiezła.

— Straśnie ciekawe rzeczy powiadacie — wtrącił ktoś ze słuchających, gdy Jędrak przerwał — ale coż było w tych Włochach?

— Dowiecie się, ho, ho, dowiecie się niemało, ino bądźcie cierpliwi. To dopiero początek. Na cem ja to stanął? Aha, jak my do hotelu pošli. No nic, w hotelu jak w hotelu. Ja się plątał, kanych mógł, a pan się gotował do drogi. Kazał se dziewczynę przywieść, coby mu bieliznę poukładała...

— A od cegoz-eście wy byli?

— Ja był tak — więcej od parady. Bo potem sam pan mi powiedział, jak my się już spoufalili ze sobą, ize mnie przyjął do służby latego, zech miał góralski strój na sobie, coby się ze mną niby po Włochach przekazać, jako że to ja jego cłek

jest, a taki siumny. Miał tyz postanowienie oze-
nić sie ka bogato, jakby sie trafilo, to musiał
mieć, jako cłek ze ślacheckiego rodu, choć jed-
nego ze służby na pokaz. A juzby ta, niechwałęcy
sie, lepszego nie znalazł.

— No dyć, nima wam co pedzieć... i z urody,
i z charakteru... Jakze dalej z tym panem?

— Przenocowali-my w hotelu, i raniutko na
morze.

— Jakto, na morze?...

— No na okręt, niby na sif po naskiemu. Stra-
śnie wieldzażna machina, kościół by na niej mógł
stanąć. Dzieli sie na dwie klasy: po jednej stro-
nie siedzą lepsi, po drugiej zaś pośredniejsy na-
ród. Ja był po tej lepszej stronie. Zaraz, jak my
ino rusyli, stanąlech se przy poręcy i ni mógech
sie dość napatrzeć. Jakby wam to przedstawić...
to tak, wiecie, jakby natenprzykład całą dolinę
nowotarską zalala, cego Boze nie daj, woda, a my
po niej z tą chałupą płynęli...

— To musi być strach!

— No, zaś takiego strachu nima, bo na okrę-
cie śmielej. Ale zawdy niepewniej, niz na lądzie.
Wnet my odjechali tak, ze nika brzegu nie było
widać, ino niebo i woda...

— Ej, Boze! — szepnęła trwożnie żona Jędrzka.

— Wiater dmuchał od zachodu, to sie zgurby
na wodzie tworzyły, i okręt sie kołysał, az sie na

wnętrzu niedobrze robiło. Pocęły się we wodzie pokazywać rozmaite wieloryby...

— Jakież to te wieloryby?

— Strasne potwory. Płynęły za okrętem i oździawiały pasceki, jak otchłanie ciemne — jakby cekały ino, rychło im co wpadnie. Ja się tyz cofnął, bo coź będę Pana Boga kusił, i zbliżyłech się ku środkowi. A tu tymcasem kielkoro ludzi zachorzało na taką słabość, co sie morska choroba nazywa. Upatruję mojego pana — a ten nieborak tyz. Nasełech go leżącego w taki mizeryi, ze mi sie az żal zrobiło. I wstyd mie było przy ludziach, bo strasnie nie po pańsku biedota wyglądał. Siadłech nad nim i myślę se: „Jak mi tyz nieborak zemrze.. uchowaj Panie Jezusie.. co wtedy robić? Cheba zabrać te kufry po nim na pamiątkę i wracać nazad ze zalem..“ Ale przecie dał Pan Bóg, ze przysel pomału do siebie. Jak my do Wenecyi dojeżdżali, to juz był całkiem zdrowy.

— Kanyz to ta Wenecyja?

— Jakze wam pedzieć... we Włochach, ale jesce na morzu. Miasto takie, jakiego na świecie nima.

— Jakze to, na morzu?...

— No na morzu tak stoi, jak inse na lądzie. Zamiast ulic, to woda, i zamiast fiakrów, to łodzie po mieście jeżdżą.

— To dziwy...

— Mnie tyz samemu cudno było, jak oni to

zbudowali, ki djabeł im dospomógł, bo to przecie nie na cłowieka patrzy, choćby i nie wiem kielo miał rozumów.

— To tam niebezpieczno być musi, jak djabeł fundamenta kładł...

— No, ale juz poświęcane. Kościołów tyz kielka stoi..

— Byliście w którym?

— Byłem we wsyćkich prawie, bo mój pan był strasznie nabozny, zadnego nie wyminął, coby nie wstąpić. Zawdy nosił przy sobie cyrwoną ksiązkę do modlenia i modlił sie z te ksiązki przed kazdym prawie ontarzem; casem dał mi ją na miesiąc, cobych niósł, ale ja na niej nic ni mógł zrozumieć, bo po miemiecku była durkowana i jakiesi miemieckie obrazki w niej były; prześlabizowalech ino na okładce jedno wyraźniejse słowo: Bae-dec-ker; ale tyz nie wiem, co miało oznaczać.

Kościóły tam bogate, ze samego marmuru stawiane. Jest tam jeden kościół, pod wezwaniem św. Marka, co ani opowiedzieć jego wspaniałości. Co ino kany pieknego, to zwieźli na ten kościół — i taki aze ciężki od tych bogactw. A na wierchu ma trzy banie, znowu takie letkie, jakzeby zywcem z pajęcyny były wydmuchane.

Ale nie ino kościóły, bo i pałace wsyćkie takie strojne. Nic nima, zadnego domu, coby poprostu tak był postawiony, jak wsędy u nas po miastach,

ino na kazdym jakiesi wydziwy, ze sie napatrzeć temu nieurada.

To we dnie. A coż dopiero wieczór!... Jak pozaświecają elektrykę, jak sie to wszycko olśni, poozłaca, jak te światła powpadają słupami we wodę — tak, ize całe miasto, widzi ci sie, na ognistych słupach zbudowane — jak do tego jakieś pokusy djabelskie zacną grać i śpiewać różnie na jakichsi mostach pływających, poubieranych w gierlandy — to sie widzi: raj na ziemi... Ani takiego snu człowiek zwyczajny za zycia mieć nie godzien.

Ja tez panu mojemu wydziękować ni mógł, ize mie zabral ze sobą. Człowiek-by zycie zezył i nie wiedzialby, ze takie cuda dziwne są na świecie.

Nie dziwota, ze tam panowie zewsząd przyjeżdżają. I w tym czasie, kie my byli, było ich tam dość; najwięcy Miemców. Pan mi powiedział, ze po ślubie młode państwo zwyczajnie tam przyjeżdża.

Jednego razu pojechaliśmy oba z panem na łódce na morze. Po drodze spotkaliśmy tyz łódkę — pozieram i widzę: siedzi w niej dwoje ludzi (starych, moze koło siedemdziesięci roków, abo więcy. On se drzymie rozkośnie, a ona pońcochę robi. Gondoler wiosłuje zwolna — i tak jadą... Pokazuję ich panu mojemu i powiadam: „Ci tyz pewnie poślubną jazdę odprawują, ino sie nieco spóźnili“. Pan mówi: „Miemce“. — „Ale

to jakiś“ — rzekę — „ucćiwy ten Miemiec. Obiecał jej widać przed ślubem, ze ją po Włochach obwiezie — coś przeszkodziło, potem pewnie przysły dzieci, trza je było wychować — tak mi-nęło lat śtyrdzieści — i teraz ją obwozi, jak przyobiecał. Ino trochę zapóznawo...“ Pan sie śmiał moim słowom, bo coż miał inzego robić. Juz my sie tyz pomалу poufaliłi ze sobą. No, nie cud — zawdy my razem chodzili. Ino jak my śli po mieście, to sie za mną prędziej niz za nim obie-rali.

Przypatrzylech sie tyz tam i wojsku. Straśnie to mizerne, mundur na tem wisi, jak z więksego brata na mniejsym. Nie wiem do znaku, jakby sie to biło. E, tak ta pewnie od parady trzymają se wojsko.

Naród cywilny zato strażnie zmyśny. Nie chce mu sie ta poprawdzie do nicego przyłożyć ucći-
wie, ale zato štuki zna lepsze, niz cygański na-
ród. On wam bedzie po morzu na kiju jechał...

— Co powiadacie? — cudowali sie, nie wierząc zrozu.

— Dyć-ech sam na swoje ocy widział, nie zbli-
ska, co święta prawda, ale znowu nie z tak da-
leka, cobych nie ozeznał, jak se siedział na jed-
nym kiju, co sie tam ka-jak nazywa, drugim wio-
słował i tak jechał. Ho! ho! oni nie takie štuki
jesce znają. Dy oni wieze tak umieją puscać, jak
nascy chłopci drzewa. Wiecie, jak drzewo w le-

się się podetnie, to się naprzód wie, kany polecą. Tak oni naprzód wiedzą, kany wieża spadnie. I za nasze bytności tak jedną wieżę spuścili na placu św. Marka. Straśnie to przemyślny naród. Ino że je biedny przytem. Zebraków tam moc, prawie co drugi cłek to zebrak. Jakbyś każdemu, co prosi, ino po cencie chciał dać, to choćbyś największy majątek miał, musiałbyś wnetki zbankretować.

Ale wesołe jakieś te zebraki. Powiadają, że się sam rząd nimi opiekuje. Wiecór to się kany się chowają, abo się tyż za panów poprzebierają, coby miastu uciechy dodawać, ale we dnie to ich pełno wsędy. Widziałech tyż kielka pałaców, co były pozamykane, a wiecór się w nich nie świeciło. Pytam się pana: „Cyje tyż to te pałace?“ — „Nicyje“ — powiada mi — „tak sobie stoją“.

Bogactw jest dużo, jakech już powiedział, ale ino po ścianach i po magazynach. Byli my w jednym, co się muzeum nazywa, to my tam widzieli przerozmaite zbroje, ornaty, kamienie najdroższe i różnych świętych wyrabianych, a potem w pałacu takim, co w nim król mieszkał za dawna, to my tam oglądali malowania, sklepy, wselenie-jakie kostowności. Ale te wszystkie bogactwa, co się tam po tych pałacach chowają, to ino obcym na pokaz. Pytam się pana: „Skąd oni tyż to ponabrywali? W jaki sposób? Musieli cheba pokraść kany, bo przecie kupić nie kupili — bo to zebraki,

to ich na to nie stać“. A pan mi na to powiada, ze to kiedysi był bogaty naród i ze miał przodków sławnych bardzo, i ci te bogactwa ponabywali: to na wyprawach, to na hanglu, to wreście za pieniądze gotowe sprawili — i reśtki tych bogactw wielgich to są te zbiory, co je obzieramy. Z całego świata, powiada, zjeżdżają ludzie, coby je oglądać, i za to płacą tutejsym. To jest ich zysk jedyny, bo nicem insem, ze to synowie sławnych ojców, ni mają wóli sie trudnić.

— A czemu oni tych kostowności nie przedadzą? — wtrącił któryś ze słuchaczy — mieliby pieniądze na biedę, skoro taka jest, jak powiadacie.

— Ja sie tyz pana o to pytał. Powiada, ze przedać nikto nima prawa, bo samorząd jest właścicielem, a naród ino ciągnie z tego profit, ze cudzoziemcom pokazuje. To wicie tak na przykład: Był bogaty graf, miał zamek i na tym zamku wseleniejakie cudności, a potem przysła bieda, nas graf zbankretował — i teraz jest ino stróżem w swoim własnym zamku. Przyjeżdżają ze świata panowie — on ich oprowadza po salach, pokazuje, co jest do widzenia, zachwala, potem sprowadza ich po schodach na dół, otwiera drzwi, kłania sie nisko i wyciąga naostatku rękę: „Signiore, una lira!“ To ma po naskiemu oznaczać: „Co łaska“.

Takie to miasto Wenecyja, i taki w niem naród. Jakby Paniezus wsyćkie miasta, skrony be-

zecieństw, jakie sie w nich dzieją, jako drzewiej Sodome, ogniem siarkowym postanowił spalić, toby to miasto z pewnością musiał wyminąć: bo telo piekne jest, co aze cud. Ludzie są grzyśni, bo zebraki — ale i w tych grzychach swoich jacyśi weseli, muszą być i Bogu milsi, niz poinsy naród, co to nawet i grzysyc poćiwie nie umie.

Widzieli my potém tyz miasta spaniałe, ale zadne do tego nimoze być przyrównane. Pan mój taksamo powiadał.

— Kielożeście tam casu bawili?

— Dość długo, bo aze miesiąc. Ale tam i rok za mało siedzieć.

— Toś tak próznował tam — wtrąciła żona — a ja tu tym casem...

Jędrak poważnie, do niej obrócony:

— Widzis, jak głupio gadas, nie do rzeczy... Tam wsyćko państwo próznuje. Tam cały naród próznuje. I to se ma za honor! Wies o tem?

Umilkła, zawstydzona, a Jędrak dalej prowadzi:

— Potem siedliśmy na kolej i pojechaliśmy na zachód, abo tyz ku połedniowi, ktoz wie, bo tam świat sie cłekowi doznaku przemienia. Tu, kany u nas połednie, to tam północ. Wsyćko jest przeinacone. Nawet po słońku trudno sie zmiarkować, bo sie widzi, ze nie tam wschodzi, ka trza.

Przejezdaliśmy koło miejsca, kany sie święty Francisek urodził, potem zaś koło miasta, skąd

pochodzi święty Jantoni Padewski. Same cudowne okolice.

Potem zajechaliśmy do takiego miasta, co sie Bolonija nazywa. Kamienice tam podobne do sukienic w Krakowie, bo takie mają filary przed sobą; miasto, widać, bogate; ludzie tyz opaślejsi niz we Wenecyi; wsyćko jakiesi grubse, więcy przysadziste. Ale i tamtejsi ludzie zmyśni są: wieze takie wam umieją stawiać, ze lecący stoją...

— Jak to niby?...

— No tak, ze widzi ci sie: leci... ino pozieras, kie spadnie, a ona stoi, setnie pochylona, cudem jakimsi tak w powietrzu wisi.

— To tam nie ludzka moc...

— Są tam dwie takie wieze. Strach pojrzyć. A jesce więksy strach stanąć blisko ktorej. Tam w tem mieście niedługo my pobawiali, bo sie panu mojemu śpiesyło do Florencyje.

— To jaka jego pani?

— Nie, to tyz miasto. Siedliśmy znowu na kolej, i jedziemy. Musielimy bez telo tunelów przejeżdzać, ze sie az cnęło; było ich cheba coś ze sto. Z tego dobrze pamiętam, ize sie pan ciskał, ze sie co chwila ściemniało, bo se przekładał karty na kolanie, zołędzie i różne inse — tak sie ta sam, nie tracąc casu, przyucał.

Ale nic dotąd blizsego nie pedzialech wam o tym panie moim. Skąd był, to ni mogę wiedzieć, bo i jemu samemu nieraz sie myliło, jak sie

przedstawiał (nie mnie, ino drugim panom): Raz, ize jest od Warszawy, insy raz, ze z Galicyje, to znowu, ze od Poznania. Mógł być ze wsyćkich trzech miejsc, bo, jak powiadał, miał dobra ozległe i nie ino pod jednym cysarzem. Gadał, ize jest hrabią jaśnie oświeconym i zeby go tak przy ludziach nazywać.

Ja tyz ta jesce wolał, boch sie mógł przed ludźmi scycić, ize hrabiemu nie płatkowi służę. Lat miał moze ze trzydzieści kielka, do śtyrdziesztu. Talantów miał duzo. Umiał fotografować przepieknie — mnie tak odbił na papierze, co by mie kazdy był poznał, choćby mie i nie znał przedtem. Umiał grać w karty na wselejakie sposoby i jakąsi grę jesce znał, co sie nazywa ruleta. Wykształcony był we wselkich sztukach — no, jednym słowem ucony. Straśnie był dobry cłek z niego. Ale to sie z dalsego opowiadania pokaze.

Zajechalimy do te Florencyje i zamieskalimy w hotelu, nie bace, jak sie nazywa. Miasto rozkosne. Kwiatów tam telo — i po murach, i po dachach, i kany ino miejsce jakie — ze niewiadomo, cy to miasto prawdziwe cy ogród.

— Zeby zamiast kamienic stały ule, byłoby tyz tam miodu!... — westchnął jakiś chłopina słodkawo.

— Po za miastem jest wzniesienie; jak sie stamtąd popatrzeć, to cała dolina — az po góry —

jeden kwitnący sad. Białe, cyrwone, niebieskie, wseleniejakie zieloności. Są tam i drzewa dziwne, jak jałowce, a takie wysokie jak smreki. Zaś te, co mają być smreki, to takie jakieś delikatne w śpilkach i we wsyćkiem, zedyś wnet na który-ten powiedział: pani smrekowa, a nie smrek.

Ale wróćmy do miasta. Jest tam na śródku kościół taki wielgi, ze sie aze myśl stracha na samo wspomnienie, jak oni go hań ku górze stawiali. A cały jest po wierchu z białych i carných marmurów.

— Ho! ho! moiściewy — dziwowali sie słuchający — co to za cuda dziwne...

— Zreśtą to tam juz nic godnego nima. Sklepów pełno, jak wsędy po miastach. I to niepotrzebnie po za sybami wystawiają — po to, coby ino ludzi kusić na wsyćkie grzychy główne. W jeden dzień wziął mie pan ze sobą do takiego gmachu, co nic w nim nima, ino same obrazy. Sal telo, co ani porachować, a we wsyćkich obrazy po ścianach wisą i to od góry do dołu — a niektore takie są ogromne, ze całą ścianę zabierają. Chodziło tam duzo państwa i przyzierało sie tym obrazom. Ja sie tyz pocał przyzierać. Niektore sie mi podobały. Były tam malowania takie doznaku, jak zywe. Dość-ech sie nacudował, kto tyz to umiał tak udać. Ale niektore były i takie, co je bezboźniki jakieś musiały malować: niby

to święta, a — wybaccie — goła, nawet zapaski nima na sobie.

Myślę se: po co tyz to telo tego na kupie? Wywieźć na jarmak i sprzedać. Byłoby sporo centów, a tak sie marnuje.

Upatrzyłem se w jednej sali nieduzy obrazek, co mi sie strasznie spodobał, i chciałem kupić do chałupy. Pytam sie pana: „Kielo-by tyz za ten obrazek chcieli?“ Pan sie oześmiał i powiada, ze nie przedadzą. „Jakto? to nie na przedaz?“ — „A nie“ — powiada — „to ino na pokaz“. Zreślą, powiada, choćbych miał całą wieś, toby mie nie stać było. „Kieloz oni to cenią?“ — pytam. „Ze dwieście tysięcy“. Myślałem, ze śpasuje. Ale co-by! Tak te Włochy umieją panów osukować. Ja se tyz myślę: „Niech ze se mają, skoro sie tak drożą“. Juz nawet nie chciałem patrzeć. Błąkałem sie po salach, bo pan jesse ostał jakimsi paniem towarzyszyć.

Im dłuzy my tam w tem mieście siedzieli, to bardziej Włochom na gorse wychodziło, boch sie przekonował co dnia, jaki to okpiśny naród. Dyć oni nawet swojego rodzzonego cysarza osukują. Jakich oni tam urzędów ni mają! Są tacy, co ino wprowadzają cudzomziemców i za to bierą płacę. Są tacy, co chodzą i nosą przy sobie zygarki, coby sie ich tyz kto nie spytał, która godzina — i za to se kazują płacić. Abo taki urzędnik: Chodzi jak dzień długi po mieście, trzyma latarkę na

snurku, żeby do ziemi dostajała, bo mu się schylić nie chce — i suka, czy kto czego nie zgubił.. Słyszeliście? A są wręcz i tacy — tych najwięcej — co już całkiem nic nie robią. Bóg lutościwy, że ich odziewa i karmi, bo jakby na mnie padły rządy, tobych to wszystko z kretesem wymorzył. „Zyjże hyclu“ — powiedziałbych — „ale ja ci nic nie dośpomogę“.

— To oni wam ta musieli setnie dojeść — ozwał się któryś ze starszych — izeście tacy na nich dobrzy. A tak-eście ładnie ozpocęli..

— No nie, najgorsy cały naród nie jest, to ino tam w ty Florency.. Wiecie, cem oni nas tam żywili?

— ?

— Ślimakami i bobem; i djabeł wie cem jesse, bo ja się nie tknął tego.

— Ehe, temu to!

— Podają obiad. Pan osobno je — ja osobno. Naprzódy jakieś pomyje zmacone. Pan odstawia. Przynosą mnie. Powąchałech i mówię: „Weź se“. On powiada. „La zupa kon prosiuto!“ — „Ehe, to właśnie prosięciu dej, nie mnie“. Podają drugą potrawę. Pan próbuje widelcem — odstawia. Przynosą mnie. Patrę — jakiesi smaty z cyrwonego mięsa. „Jaby ci to jadł? Weź se“. Podają trzecią potrawę. Ta sama historyja. I tak dalej. Wręcz hycel przynosi coś zakrytego na talerzu. Patrę — ślimak jakisi. Ledwoch wytrwał,

zech mu tego ślimaka do gardła nie wepchnął. Naostatku — juz zły widać, ale sie uśmiecha, jakby chciał rzec: „To wam przecie juz musi smakować“ — podaje bób we strąckach, świeży i jesce mocno niedojrzały. No! tom se pomyślał: „Pan Bóg cie, hyclu, głodową śmiercią ukarze“. I poselech spać. Nie wiem, co pan robił. Ale musiał pewnie cosi z tego zjeść, bo na drugi dzień skarżył sie mi na brzuch — i potem juz z tym brzuchem do końca tak było.

Wreście my postanowili pojechać do Rzymu.

— Hej? To tam Rzym jest? — spytały razem ciekawe kumoszki.

— Rzym jest, i Jerozolima, i wsyćko jest we Włochach.

— To-ście i w Jerozolimie byli? — pytały dalej niewiasty, patrząc na Jędrzka, jako na świętego.

— Nie, tam my juz nie dojechali, bo panu pi-niędzy brakło.

— Toście na piechty mogli dojść. Tak blisko...

— Jakze w tym Rzymie? — pytali ciekawsi.

— Pockajciez, nie spieście sie, wsyćko bedzie na cas. Jak my postanowili pojechać, tak my siedli na kolej, i jedziemy. A jesce zabacyłech wam powiedzieć, ze tam z temi kolejami jakiesi cygaństwa być musą. Na kazdej stacyi otwierają wsyćkie wagony na ościez, i każdy wchodzi, ka mu sie podoba — nie tak, jak u nas, co wsyćko

po sprawiedliwości wyzamykane, i trza, chcący jechać, pięknie prosić, coby tyz kany wpuścili. Tam telo płaci zebrak, co i poćiwa osoba — wsyćko sie ze sobą miesa; cheba dopiero Pan Bóg na tamtym świecie bedzie dzielił i ustawiał po klasach według sprawiedliwego osądku, bo tu juz nie da rady — trudno ozeznać: kto dziad, a kto bogaty — kto złodziej, a kto ino udaje świętego. Ale jedźmy do Rzymu.

Po drodze nie będę sie długo zatrzymował, bo tyz ta i nie było wiela na co patrzeć. Ziemia goła, aze wstyd — a trafi sie jakie drzewo, to sie tak biedne konarami modli, ze sie az płakać chce. Nic tam nie sadzą, ino morowe jakieś drzewa. Nic tyz nie sieją. Ani kapusty, ani ziemniaka, ani owsa — nic nie uświadcy na polu. Ziemia tak próżnuje darmo. To tyz Pan Bóg im nie błogosławi.

Przyjechaliśmy do Rzymu — juz sie mrokcyło, światła zapalali. Na stacyi telo piekła, ze choćby sto jarmaków zegnał w jeden kosar, to nie byłoby głośniej, myślę. Co ino łakomstwa w Rzymie, to sie tam zleciało. Ten ci zachwala hotel taki, ten taki, ten znowu insy — tamten juz głos stracił od krzyku, rękami ino jakieś znaki daje — a wsyćko jak osalałe. Tak, jakby ratować chcieli podrozných z jakiego nieszczęścia strasnego. Otocyli pana całkiem, widziało sie, ze go juz zagłusą. Miałech mu skoczyć na pumoc, ale nieporada było,

bom dźwigał kufry przy sobie, a potem obskoczyła mnie zgraja dokoła — i dalejze mi pomagać... Ten ciągnie w prawo, ten w lewo, ten w tę, ten w ową stronę — widziało się, że mnie już ozerwią, bom kufrow z rąk nie wypuscał. A drą się, jak wszyscy djabli. Mnie też złość porwała wściekła, i wrzasnąłech na cały głos: „Psia krew!!“ (To pierse słowo, com w Rzymie wypediał. Ale trza było, bo jakze. Niech mi Paniezus tego nie pamięta — już-ech też zmasał na spowiedzi). Odskoczyła zgraja na bok tak, jakby pieron w nią trzasł. Zrozumieli. Widziałech, że po polsku można się rozmówić, ino trza ostro, bez bojaźni.

Pan, widać miękcejsy, zgodził się już tymczasem z jakimś złodziejem, i ten go wepchnął do takiego wozu, co jest jak skrzynia z oknami. Chciałech pana ostrzec, żeby się nie dawał tym osiustom do rąk, ale już było zapóźno; jakECH nadsedł, to pan już siedział w ty skrzyni. Mnie kazał pan wyleźć ku furmanowi i kufry wycisnąć na dach. Coż było robić — pojechalimy — alech słowa przez całą drogę bez miasto do furmana nie pedział. Nie było też casu gwarzyć, choćbych i miał był ochotę, bom się ozglądał na obie strony — „przecie to Rzym!“ — myślę se. Ale jakoś nic na to nie pokazowało. Kamienice, jak wsędy po miastach, nawet nie takie cudne, jak we Wenecyi. Gwaru, turkotu doś — i telo piersego dziwu. Zajechalimy do hotelu. „Przecie ten nas nie

ocyganił“ — myślę. — „Może tu przecie jest ludzi więcej ućciwych, jak nie“.

Zaraz na drugi dzień rano prosiłech pana mojego, coby mi tyz pokazał, ktorędy sie idzie do świętego Pietra abo Pawła, bo bych tyz chciał podziękować Bogu, ize mie tu scęśliwie i tak niespodziewanie doprowadził. Pan zaś był telo dobry, że sam sie ofiarował ze mną iść na miejsce.

Przyszlimy przed kościół świętego Pietra, i tam-ech sie piersy raz w Rzymie zacudował. Kielo tyz to stopni trza przejść, zanim sie wejdzie do kościoła! Budownicowie przez to pewnie to chcieli pokazać, ze telo stopni jest do nieba.

W kościele w środku nie jest tak pięknie, jak u świętego Marka w Wenecyi, ale tyz zato gmasysko okropne — pięć naskich kościołów w nim by sie letko schowało. Zastanowiło mnie to, ze ludzi nie duzo było w kościele. U nas sie gnietą, kościół ni moze pomieścić, i na polu stoją pod dzwonnica, a tu taka przestroność, i nikogo prawie. Mse święte sie odprawiały, a mało kto ich słuchał. Kielkoro pań i panów chodziło od jednego ontarza do drugiego, jakby za jaką pokutę; niektorzy modlili sie z cyrwonych ksiązek, podobnych, jak mój pan miał. Ja sie tyz pomodlił, jakech umiał, niewycytajęcy, podziękowałech Panu Jezusowi za wsyćko, cegom nie godzien, i świętemu Pietrowi ofiarowałech parę paciorków — żrestom nie było tam juz co robić.

Posukowałem pana, bo mi się kanysi stracił i upatrowałem, czy tyż nie ujrzę ka Ojca świętego, bom wiedział, iż niedaleko mieszka. Myślałem se w duchu, że może zajrzy do kościoła, abo msę świętą będzie miał... I co który ksiądz się nawinął, to mnie już nogi podrywało. Ale zaden nie widział mi się godny. Dopiero potem pan mi wytłomaczył, że Ojciec święty ze rzadka zjawia się w kościele i to nie tak poprostu, jakby se kto myślał, ale ze służbą i ze wspaniałością wielką, jak przystoi. No, ale ja tyż ta, jak cłek głupi, nie wiedział zrazu o tem.

— To-ście Ojca świętego całkiem nie widzieli? — pytały zawiedzione słuchaczki.

— Widziałem go tak zbliżka, jak was tu widzę, ale do tego dopiero dojdziemy. Teraz my są w kościele świętego Pietra, to nie przerywajcie, boby się mi pomieszało.

— No, już nic, opowiadajcie, bo to wsyćko święte rzeczy, co mówicie, ani cłek nie godny widzieć — przypochlebił ktoś ze starszych, i Jędrak Sklarz do wątku opowiadania powrócił.

— Znalazłem wręście pana w jedny z pobocznych kaplic. Stał z jakimisi paniami dwiema; jedna była starsza, druga młodsza, tak, jakby jej córka. Poznałem zaraz, że to te panie, co były w tym czasie we Florencyi, kie i my byli. Miało mi przyjść na myśl: kto tyż za kim jeździ — czy my za niemi, czy one za nami? Ale że to w ko-

ściele było, tom juz nie chciał obrazić Pana Boga głupością światową. Skłonilech sie ino grzecnie, jakech umiał, i stanąlech z boku. Dosłyszałech ze po naskiemu rozmawiali, i widzia-
lech tyz potem, ze o mnie mówili, bo mój pan na mnie oczami wskazował, ale udawałech dobrze, ze nic o tem niewiem, nawet przygłuchnąlech trochę na tę chwilę. Djabeł mie kusił, coby podejść blizy, ale ja sie nie dał skusić, bom i tak bez jego porady słyszał, choć-ech ta i przygłuch-
nął wrzekomo, ize pan sie chwalił mną i powia-
dał, ze juz od dawnych lat u niego służę, a panie sie zaś ciekawiły moim białym strojem. Miałech se pomyśleć: „Zeby mi to pan za te lata zasługę policył, to niechby ta juz była prawda, zech słu-
żył“ — ale ze to w kościele świętym było, tom se juz nie nie pomyślał, ino mówiłech paciorki do obrazu, co był wymalowany na ścianie, i po-
zierałech niewidocznie, rychło sie mój pan uwolni. Ale kabyś ta! Ofiarował sie jesce do jedne kaplice z niemi.

Poślimy wraz, bo i ja tyz — ino mi pan poci-
chu sepnął, coby nie w parze iść przy nich, ale w odległości niejkiej za nimi. „Ja tyz ta jesce wolę“ — powiedziałech, ale poprawdzie, to mi sie to nie podobało. Zrazu, jakech nastał, tak-
samo mi przykazywał, ale potem to my chodzili wraz oba, i jesce mu było śmielej przy mnie. I teraz znowu przy ludziach... No, ale dumam:

„Pan jest na to, coby miał swoje humory. Ja mu ta ojcem nie będę. Miał jednego, i ten go tak nauczył, to coż on winien?“ I poselech za niemi do te kaplice. Niezałowalech potem, bo tyz było sie cemu przypatrzeć! Jest tam całe piekło, i niebo, i sąd ostateczny, i co ino było na świecie i będzie, to tam wsyćko jest wymalowane. Ba, to nic, wymalowane — ale słysalech, jak pan tym paniom objaśniał, ze to sam święty Michał Janiol wymalował!

— Mościewy, to-ście wy juz cheba zupełnego odpustu na wieczne casy dostąpili, skoroście przy takich rzeczach byli, ktore ino w niebie, jak Bóg lutościwy da komu, oglądać będzie mozna — mówili słuchający, a Jędrak nie przeczył temu i dalej ciągnął swoje.

— Potem wyślimy na miasto, odprowadzilimy te panie do ich mieszkania — niedaleko od palacu Ojca świętego mieszkały — i wrócilimy do swojego Bokacio, bo takie przezwisko miał nas hotel. Wesolo tam w tym hotelu było, ino to było niedobrze, żeś juz bez całą noc oka nie godzien był zmrużyć. Co chwila, to „sur — sur“ po za ściany, jakzeby sto kup mysy wesele swoje odprawiało, to znowu śmiechy takie, jakzeby sie boginki gziły. Nie wiem, jak ta panu mojemu sie spało, bo my nie razem sypiali, ale cheba ze nijako, bo sie doś często na głowę uskarzał.

Ucisalo sie dopiero ku ranu — cłek sie rado-

wał, że się zdrzymie choć na tę małą chwilę — ale cobyś!... ledwoch zemzał — jak wrzaśnie ktoś z ulice!... Piersego dnia, tom się zerwał na równe nogi. Myślałech, że się Rzym pali. Wyzieram oknem, kany co takiego — a to mała skucina, Włoch, wiezie na wózku zieleninę i tak się drze okropnie. Jakby go kto ze skóry łupił. Legam na nowo — znowu! „Zebyś na wieki ochrypnął“ — zycę — mu juz we złości. O, je za chwilę trzeci, cwarty — i tak do śródpołui. Za parę dni tom juz całą tę letaniją wrzasków znał na pamięć. Ledwo się na świt namieniało, juz woła: „Insalata! salati!“, potem: „Spinaci! lasparagi!“, i juz nie bacę dalej. Skoro z jarzyną przestali, zacynało się z gazetami. „La Tribuna! Avanti! Il popolo!“ i djabeł ta juz wypamięta reśćę. A to na rozmaity sposób: jeden krótko, jakzeby go w podeswy parzało, drugi przeciągle, jakzebyś go na wolnym ogniu przypiekał, insy załośnie, jakzeby mu ociec przed godziną skonał, a każdy ino w tem ma pychę, zeby się najgłośni udrzyć.

Po paru dniach poznawalech juz wsyćkich po głosie. Jeden był — ten co najwcześni zacynał — taki juz z tym głosem przeobmierzły, zebych był wołał wilka na pustem polu usłyseć. Jednego rana pan woła na mnie bez ścianę: „Idź-no, Jędreku, uspokój go, bo mi głowa pęknie“. Mnie tyz ta nie trza było dwa razy gadać. Ja juz dawno miał złość na tego hycla, bo widać na despet tu się

tak darł, coby nas skłócić — zdalsa słyhać go było duzo cisej. Zebrałech sie w ty minucie, nawet-ech kyrpców nie obuwał, wypadlech na ulicę, dołapilech go i omlóciłech po pysku w porządku. Byłbych go był i więcy ukrzywdził, ale mie lutoś wzięła, bo to nikle było, myślę se: „Bees miał doś“. Wrócilech do stancyje — pan sie bez ścianę pyta. „Coz tam?“ — „Juz uspokoiony“ — odpowiadam. „Dobrze“ — mówi — „ale coz to za krzyki?“ Rzeczywiście słyhać było krzyki i halasy zdołu. „Pójdę wyjrzyć“ — powiadam. Ledwoch do schodów doseł, a tu sie wali cała hurma Włochów, krzycą, gdakają jakoś po swojemu i chcą mnie ocywistnie zahereśtować. „Jakiem prawem?“ — pytam sie. — „Ja tu nie swój, bo ja służę u pana“. Ci nic, ino do mnie. Ja tyz: „Jak sie nie ustąpicie“ — mówię — „to was wsysćkich co do jednego wymietę!“ Na to wyleciał mój pan bez ubrania i zaczął z nimi w ich gwarze sie kłócić, dopiero mie opuścili, ale nie odeśli, aze im pan zapłacił dwadzieścia lirów, jako śtraf za mnie, bo sie pokazało, izech nie tego uspokoił, co trza, ino inego jakiegoś przechodnia. Potem pan mi powiedział, ze mnie ino latego nie zamkli, ize mnie za niepocytelnego podał. No, dobrze, myślałech se, ale to głupie mają prawa, bo choćbych i cytelnny był, to przecie ten cłek, com go niechcący ukrzywdził, ni miał na gębie napisane: nie ten.

Niech mu ta Bóg grzechy odpuści. Ani nie wie zebrał do dziś, za co odpokutował.

Potem wołałem już cierpieć, a nie dalek się prędkości porwać. Kłamię ino, jak mi dużo temi wrzaskami dopiekli, i najwyższy zycielem im takiego samego dobra. Myślałem se tyż rozmaicie, na ten przykład: „Od czego tu rząd jest, ze tych hyclów nie połapie i nie pozamyka. Zeby to jeszcze kainziej sie darli, no niechby, ale w samym Rzymie! Oni pewnie na despet tak Ojcu świętemu... coby oka nie zmrużył... Biedny i on — myślę se — tak musi pokutować niechcący, jak haw i ja. Święty jest, to sie nie gniewa, ale na insego... toby to wyklął z kościoła — niechze sie hycle w piekle drą po śmierci!“

I jeszcze różnie se myślałem, ale już bez gniewu. Jak mi ten Ociec święty przysłał na myśl, ize je taki cierpliwy, tak i mnie złość opuściła, i dodawałem przy kazdym paciorku: „Ohfiaruję Ci tyż, Panie Jezusicku i Wam Józefie święty, te wszystkie utrapienia, jakie od tych hyclów doznaję: na uproszenie łaski przenajświętsze, na odpuszczenie wszystkich grzechów moich, i na większą chwałę Twoją. Amen“.

— No, dobrze wszystko, ładnie — przyświadczyli, skoro Jędrak wytchnął — ale o Rzymie nie nie opowiadacie, a my ciekawi...

— Miałem właśnie zacząć skraja, i przerwaliście mi. Jakże o Rzymie?... Przecie to nie osiedle,

cobyś obseł dookoła i powiedział o niem zdanie: takie a takie.. Przecie to miasto — właściwie trzy miasta w jednym okolu: stary Rzym, co sie juz ozwalił, nowy, co jesce stoi, i najnowszy, co sie dopiero stawiał ale brakło im widać piniędzy, i ni mogą go skończyć; widziatych rzędy kamienic niepodokońcane — niebo bez okna świeci — i tak stoją, nikto koło nich nie majstruje.

Byli my i w starym Rzymie. Dziwne to tam doprawdy, małoktory gmach coby był cały, a niektore juz całkiem ozsypane. Ale tyz dziwni i ci cudzoziemce cy Jangliki, co po tych zwaliskach chodzą; kazdy słup obwąchają, kazdy kamień spróbują, cy słony, jak natenprzykład owce, kiedy spotkają kruch soli. Oni by tam pewnie, jakby mogli, cały Rzym po kamieniu, po cegle oskradli — i za sto lat miejsce by ino świadczyło, kany Rzym stał. Takie te Jangliki zmolne.

Byli my i tam z panem, kany chrześcijan męcyli. Strasne gmasysko, przeogromne! Ani do cego przyrównać. Cały Nowy Targ wnetby sie w niem zmieścił. Do sądnego dnia pewnie bedzie trwać na hańbę i na świadectwo przeciw okrutnikom.

Byłech tyz w jednej pogańskiej bóżnicy, co sie podmuchom wieków obalić nie dała — niech mi tego Paniezus na Sądzie nie wspomni — bo mie ciekawość parła zajrzyć, co oni to tam, jakiego cielca ćcili. Ale nic nie było w środku; wysełech stamtąd duzo zawiedziony.

Zato potem, Bogu niech będzie niewymowno, bylech cosi w stu kościołach, abo we więcy, bo trudno było dorachować. A jescech i tak połowy nie doseł.

— To tam sie dopiero ludzie modlą! — wtrąciła któraś z kumoszek zazdrośnie.

— Cały dzień pewnie, i mają cas na to...

— Hale! Tyz za to, ze telo kościołów, to sie z niemi oswoili, i tak sie im to widzi równo, cy kościół cy co insego. Nijakie éci nie widać. Bylech na paru nabożeństwach, tom sie przypatrzył i przysłuchał wsyćkiemu. Ludzie se chodzą, rozmawiają, nikto na księdza uwagi nie daje. Dopiero jak na chórze zacną śpiewać, to sie w kościele ucisa. A po śpiewie zaś to klaskają w ręce podobnie, jak to w tyjatrze. Ale wyście nie widzieli. To wiecie tak, jak to małe dzieci, kiedy są rade cemu.

— Co wy tyz opowiadacie!

— To wiecie tak tam nabożeństw słuchają...

— Ani sie wierzyć nie chce.

— Nie wiercie, jak nie chcecie, ja was nie będę przymusał. Ale to święta prawda, co wam opowiadam. Jakzeby ja miał odwagę o Rzymie klamać?

— Juści ze trudno, bo jakze... o to was tyz nik nie posądzi, broń Boze, ino sie tak dziwno zdaje... To i księzy musi tam być duzo, skoro telo kościołów?

— Ba! Księży jest takie mnostwo, ze az ciemno. Nie ino miejscowi są, bo sie z całego świata tam zjezdżają. Ulicą nie przejdżies, zebyś dzieści najmmiej nie napotkał. Biedne niektore takie, ze aze zal.

— Z czego oni tyz tam zyją?

— No, ci co miastowi, to pewnie z kościołów. A rešta to sie moze u Ojca świętego wiktuje. Ale cekajciez, nie przerywajcie mi, niech opowiadam skraja, bo mi sie miesa. Takby my do ućiwego końca nijak nie dotarli. O, natenprzykład, jedno, com powinien był opedzieć wceśni, dopiero teraz mi przychodzi. Jednego odwiecora pojechalimy z panem na korso...

— Coz to takiego?

— Jakze wam pedzieć... Bo sie to właściwie nie tak nie nazywa, zadne miejsce, ino to ma oznacać miastowy obycaj. „Na korso“ to tak, jakby powiedzieć „na przejazdżkę“. Co dzień nad wiecorem o ty samey godzinie przyjeżdża państwo w powozach do ogrodu na górkę, co sie Montepincio nazywa i skąd cały Rzym widać, i tam se zabawę stroi, przejeżdżając dokolutka po tym ogrodzie po dwadzieścia i więcy razy.

Pan najął powóz, kazał go ubrać w kwiaty, tak samo tyz i konie, mnie kazał sięć na wysokiem siedlisku przy furmanie i ręce tak na piersiach założyć, a sam se siadł na nizsem — i pojechalimy. Państwa juz jeżdżilo duzo — mijali sie, do-

ganiali, i znowu nazad — a co który powóz to ładniejszy. Jeden był, co sie odróżniał od wszystkich. Konie carne, jak kruki, poubierane w bielutkie gierlandy, furman i lokaj na przodku, a w powozie, na którym były herby malowane, siedziała ino jedna pani, strasznie piękna i wystrojona, tak, ze sie az w oczach mieniło, gdyś spojrział. Pan mój kazał furmanowi, coby koło tego powozu jeździł bez przestanku, tom sie mu miał cas przypatrzeć. Widziałech, jak ta pani pozierała na mojego pana, i on tyz na nią — myślę se: „Na cosi sie zanosi“. Zycylech z duse panu, bo widać godna osoba i majątek musi mieć nie-mały, skoro w takiej paradzie se jeździ.

Pan miał postanowienie zrazu ożenić sie z tamtą, co była z matką u świętego Pietra, ale sie okazało, ze i ona tyz majątku patrzy — i tak sie ni mogli zgodzić.

„Dobrze sie stało“ — dumalech se — „bo zaś co do te w powozie to ani przytykać; tamta mogłaby ślebodnie za pokojówkę być u te hrabine, i niktby nie powiedział, ze to nie pasuje“. Myślę se: „Zebych tak strykiem był mojego pana, tobych mu ino tę raił, i sambych na namowiny poseł i potela bych nukał, azby sie przeznacenie wypełniło“. Widać przecuła, com se w duchu myślał, bo pozierała i na mnie łaskawie. Skoro my sie raz zjechali tak, ze konie sły w parze, dojrzałech, jak rzuciła kartkę mojemu panu do po-

wozu. „No to juz dobrze“ — pomyślałech i nie omyliłech sie. Pan był potem cały cas uradowany i mnie dał lirów kilka. Złożyłech niewycytajęcy jeden na ofiarę, na to, coby sie panu w tym interesie poszczęściło, bo by ta i mnie co więcy kapło z te obfitości.

Do te hrabine pan często zachodził i mnie raz posłał z listem. Ale trafiłech na taki cas, ze jesce nie była ubrana, i wstyd mie było strasnie; jakisi pan tam u nie był, moze brat abo dochtór, bo sie je nic nie wstydził.

W tym casie byli my tyz u Ojca świętego...

— No, przecie! — ozwał się głos w gronie słuchających niewiast. Niektóre, dalej siedzące, wstały i bliżej podeszły.

— Ale to juz musę jakimusi świętemu przypisać, ize mnie tam doprowadził, bo to nie tak lacwo, jakby sie wam mogło zdajać.

Pan mój, jako ze ślacheckiego rodu, wystarał sie za pretekcyją znajomego księdza cy biskupa, ize miał być dopuscony przed święte oblice z kilkoma osobami wysokiego stanu. Jakech sie ino o tem zwiedział, molestowałech pana, coby mie ze sobą przywziął. Ale pan zrazu powiadał, ze to nimoze być nijakim zywym sposobem, bo tam ino jako pielgrzym — i to nie sam jeden — cłek prosty moze być dopuscony. „To ja będę, jako pielgrzym“ — mówię — „i nie sam będę, bo z panem“. Na to pan sie oześmiał. „No, skoro tak

gwałtem chcesz“ — powiada — „to cie wezmę, ale nie dalej jak do drzwi, za ktoremi będzie Ociec święty. Mozes tam na mnie poczekać i mozes sie tymczasem poozpatrować po salach“.

Nie było mi to na wółę, ale coż miałech robić. Dobrze i to. Myśle se: „Niechze będzie, jako będzie“. Skoro ten dzień przysel, wystroiłech sie, przeobulełech nowe onycki, a pan sie na carno ubrał — i pojechalimy.

W bramie pałacu wstrzymała nas warta, ale nas potem przepuściła, skoro pan papier pokazał i cosi z oficyrem porozmawiał. Jakech wstępował po stopniach, to mi tak serce biło, zech sie o ścianę musiał oprzeć cosi ze trzy razy. Dziańdary stały na kazdym zakręcie — po dwoch, strasnie wojemnego wzrostu. Alech se potem pomysłał: „Przecie tu Ociec święty mieska, nie zaden strasny munarcha — coż sie mam bać?“ i juz ech śmieiej za panem moim postępował.

Zaślimy wręście do sali, kanych miał na pana cekać. Ozglądnałech sie — doznaku tak, jak w kościele: marmury, wyłacania, malowania różne. Przy jedny ścianie stało dwoch rycerzy w mundurach żółtych z białemi paskami, cy tyz naodwrót, bo nie bacę. A zaś blizy drzwi stało kielku panów i rozmawiali po cichu ze sobą. Pan sie tyz ku nim przyblizył. Myślę se: „To pewnie za temi drzwiami będzie Ociec święty“. I tak-ech sie nieznacnie zaposuwał, zech sie nalazł blizy drzwi,

nizeli panowie. Stoję se, niby tak bez zadnego zamiaru, a medytuję. „Zeby sie tyz to jako dostać do Ojca świętego, coby mie ino pobłogosławił. Niech juz potem bedzie, jako chce“. Poruszenie sie jakiesi zrobilo za drzwiami. Panowie sie przysuneli. Mnie serce zadygotało, nadsluchuję... Pan mi powiada: „Nie pchaj sie“. Ja udaję, ze nie słyszę. Kaz sie bedzies cłowiek grzysny pchał, jak nie do zbawienia?

W te razy drzwi sie otwarły, i tum wyraźnie uczuł łaskę boską, bo mnie widać ze stroju wzięli za ślachcica, a o panu moim myśleli, ze to mój lokaj, i mnie naprzód przepuścili, a pana odcofli. Nie wiem, jako sie ta sprawiał, i cy go potem dopuścili, jak im wyłożył omyłkę, bo ja juz na nic nie uważał, ino prościutko — jakech wseł — do Ojca świętego... Dziś go widzę, jak se siedział na wysokiem krzaśle — biały gołabek, chudziutki, zmizerowany, zbiedzony, ze mi sie go aze zal zrobilo. Jesce mu na tę głowę świętą jakisi ciężar włożyli, ze sie aze zgiął pod tem... I tak se siedział, a koło niego stało paru księży cy biskupów, bom sie im nie przyjrzał dobrze. Gruchnąłem przed nim na kolana — lzy mi sie do oców cisły... „Ja tyz nie godzien“ — jąkam — „ale mie tyz niech pobłogosławią, jak Ich przenajświętsza wola“... Pojrzałem z dołu ku niemu załzawionymi ocami, on tyz parę łez nademną upuścił — i tak my se oba zapłakali. Potem przemówił cosi

po łacińsku, a potem wyciągnął rękę, pobłogosławił mnie urocyscie i dał mi na ostatku pierścień do ucałowania. Wstałem, jak winem najlepsem opity, i wysełem tak letko, jakbych skrzydła miał nie nogi. Wychodzący pomyślałem se: „Zeby sie to tak do nieba bez omyłkę dostać“...

— No, toście juz nalepsego na świecie doznali, nie zał wam będzie i umrzyć — mówili słuchający, zazdroszcząc w duchu Jędrzkowi. — A jakże z panem wysło?

— Nie wiem, jak, powiadam, bo ja na górze na niego nie czekał. Zaraz-ech zeseł na dół, bom sie i obawiał trochę, ze może być źle z tego, jak sie postrzegą. Pan mi tyz nic nie pedział, bo zły był na mnie strasznie. Ja se ta nic z tego nie robił — miałech za to błogosławieństwo; to, myślę, więcy warte, jak pańska przychylność. Zreśtą myślę se: „Wyg niewa sie, to sie i wydobrzy“. I tak tyz było. Długo nic do mnie nie gadał, a potem pomału zaczął, ino mi zadziesiątał raz na zawse, cobych sie nigdy nikany nie pchał przed nim piersy. Ja mu tyz posłusność przyobiecał, bo coz mi to wadziło.

Zreśtą, ka by ta był o tem jednym myślał wse, skoro insem miał głowę zajętą. Coraz to częściej zachodził do te hrabine, co my ją na korsie spotkali. Juz sie poważnie tem zajął. Spodziewałem sie, ze wnet usłysę o weselu, i juz-ech kyrpce

stroił. Ale potem nie wysło tak, jak se dumał, bo zawdy jakiś djabeł musi popsuć sprawę.

Przyjechała z Hameryki jakasi Jangielka, brzyćka jak nieszczęście, ale powiadali o niej, że ma pieniądze wielgie, miljony. I pan — juści nie dziwota — wołał więksty majątek, jak mniejsy. Kanysi sie z nią poznałomił, i potem jej juz ciągle towarzyszył; kiedy nie kiedy ino zajrzał do hrabine. A ta Jangielka nie bardzo była mu rada. Widziałech, zeby mnie była wołała.

— Dzis go, zbereźnik! — wtrąciła żona Jędrzkowa.

— Nie bój-ze sie, nie, bo i djabeł na pieniądzech siedzi, a bez to nie jest przyjemniejszy... A co zaś, ze mie ta chciała, to la tego mówię, ze jak pan zauwazył, kie my wraz oba z nią byli, ize ona z nim rozmawia, a do mnie zęby wysce- rza, tak mie juz nie brał ku sobie, ino mie ostawiał, i sam jej chodził usługować.

Ja tyz ta jesce wołał, bom sie tymcasem mógł wyspać i po Rzymie se pochodzić, jak sam pan. W tym casie poznałomiłech sie z malarzami z polskiego kraju, co sie tam w Rzymie ucyli malować. Straśnie to wesoły naród, i taki śpasowny, zebyście sie im uśmiali!

Chodziłech z nimi po mieście — cuda mi pospokazowali. A raz mie wzięli do siebie do Skoły i odmalowali mie całego, jak stoję. Pytali sie mie, cy dobrze. Ja im na to: „Dobrze by było, ino

ze kyrpców widać zaden z was nie sył, bo nie takie są, jak mają być“. Śmiali sie temu i powiedzieli mi, zech jes chłop grecki, to niby znacy: do rzeczy, zech im sie udał.

A raz znowu pojechalech z nimi za Rzym do tego miejsca, kany świętego Pawła ścięli. Jest tam klastór spaniały, mieskają w nim zakonniki, nie bacę ino, jakiego zakonu. Mają se sklep przy kościele ze świętymi relikwijami i wysynk święconej wódki, którą sami umieją robić. Nazywa sie ta wódka jakoś... kaliptówka... cy tyz jesse inacy, nie bacę. Dwoch bracisków synkowało. Popili my sie ućiwie, i bracisków my opoili setnie. Prosili mie towarzysze, coby im „zbójnickiego“ zatańcować. Sprawiałech sie, ze nie umiem. Ale ci nic ino: „Musis! musis!“ Juz my sie przy ty wódce pobracili. Ja tyz zatańczyłech im „cyfrowanego“ naskiego... Powiadam, ze to zbójnicki — uwierzyli. A dwa braciski tak sie śmiały, ze sie az po ziemi walały. Wesole były zebraki. Na odchodnem kupiłech niewycytajęcy dwie relikwije święte po korunie, ino nie bacę z jakiego świętego; przyniósłech haw babie, niech se ta ma.

— Mozebyście tyz udzielili — szepnęła któraś z kumoszek do Jędrzkowej.

— Kiedy tyz nima co dzielić — bronila się — bo tak jak ziarko.

— Wróciliśmy do Rzymu — ciągnął Jędrak —

wesoło, głośno, jak z jarmaku. Wsędy sie za nami obzierali.

Alech sie musiał wnetki z tymi malarzami rozstać. Jednego rana pan powiada: „Zbieraj sie, Jędrzek, pojedziemy“. — „Cy juz ku chałupie?“ — pytam sie. — „Nie“ — mówi — „pojedziemy do gór“. Jangielka tam pojechała, i pan postanowił za nią. Miałech powiedzieć panu: co sie tyz to po górach za babami włóczyć, kie ich tu dość, alech juz nic nie powiedział. Spytalech sie ino, rychło wrócimy. Pan powiedział, ze moze nie prędko i zebych wziął, co potrza. Powyjmował rzeczy niektore, cobych do mniejszych kufrów zapakował, i skoczył pozegnać sie do hrabine. Tego tom juz ni mógł pojąć. „Tu do jedne, a tam za drugą.. Jak to moze być?“ Alech se pomyślał wreście: „Cy ja mu strykiem abo ojcem? Oświatę ma więksą niz ja, to on ta juz wie, co robi“.

Wyjechaliśmy ze Rzymu koleją na wschód cy tyz na połednie — bo, jakech juz powiedział, całkiem mi sie strony świata poprzeinacały — i jechaliśmy i bez Antykol i bez kiela miast mniejszych, ale juz nie bace ich nazwy. Co mi sie wydawało dziwne, to to, ze nikany wsi nie widać było. Myślę se: „Kany tyz tu chłopski naród mieska?“ Dopierom sie późni miał dowiedzieć.

Zajechalimy do miasta, co sie nazywa Subijako; tam my z koleje zesiedli. Patrzę — górzyska przed oczami, ze wirchów trudno dojrzeć.

„Jakże my tam w te Tatry pódziemy?“ — pytam się pana. — „Mozeby my tu zacekali na tę panią?“ Ale pan se ani przykładać nie dał. „Zaraz — powiada — wyruszymy“. Tak go za tą Jan-gielką gnało. „Ba! wyruszyć możemy“ — mówię — „ale jakoz? ja z pakunkami, pan na piechty“...

— „Nie tróbuje się“ — powiada.

Posel do Włochów, co stali niedaleko z rękami w kiesieniach, i porozmawiał z nimi, a ci pošli i przyprowadzili za chwilę dwa bydłeta, co się w tamtejsej gwarze nazywają granda bestyja i pikola bestyja, to znaczy: muł i osieł. Stały te stworzenia smutne i śmieszne przytem, co nie-miara, a pan tymcasem ugodził się za nie i poganiacia najął.

„Jakoz my to na tem pojedziemy?“ — pytam się, skoro pan nadseł. — „Dy to takie stworzenia, zeby cłek płakał nad nimi i śmiał się. Jabych za życie na tem nie chciał jechać“. Ale pan nie uważał na to, kazał mi włożyć pakunki na grandę bestyję, a sam wsiadł na pikolę — rusyliśmy — ja koło grandy, podtrzymując pakunki, bo się wazyły na boki, poganiac za nami z kijem. Była tyz to jazda, była! Skoda, żeście nie widzieli. Uśmielibyście się.

Zaraz za miastem droga się wznosiła i sła na skos przez uboc, a potem coraz stromiej ponad przepaście. Pan jechał na przodku — jak się już rzekło — na tej pikoli bestyi, ja za panem przy

grandzie, a za nami poganiac z bijakiem. Co sie tyz ten całą drogę nadarł! Juz se użył za wsyćkie spokojne casy. Co chwila, to: „avantil“ co miało znaczyć: „wio!“ A zadne go nie słuchało. Osieł seł tak, ze juz cheba powolniej trudno, a muł za nim jak za prefesorem. Casem poganiac doskoczył, to go udarł kijem, to sie wtedy muł ruszył o pól kroku więcy; trzy ćwierci juzby było za duzo. A osieł nic, nawet pól ćwierci nie przyspiesył. Seł zadumany, i widziało sie, ze na cały świat nie uwaza. Ale to ino na poziór, bo w gruncie rzeczy myślał ciągle, jakby sie ciężaru pozbyć. Rosły cierniaki koło drogi, to choć miał miejsca doś na drodze, umyśnie zbocył ku cierniakom i tak sie o nie otarł bokiem, ze pan w niebogłosy wrzasnął. Abo znowu ponad przepaścią seł na samym kraju, na ostatnich kamykach, choć drogę miał wolną. Co sie tyz pan strachu najadł, to ani ani — za zycie bych nie chciał.

Śródwiecerz był, jak my sie pod wierch wydostali. Minęli my zakręt. Pojrzę w górę — i ocom swoim nie dowierzam. Widzę jakiesi mury koło wierchu, jak zamki nieprzystępne. Okna sie świecą — wyraźnie widać domy... Zdumiony pytam sie pana. „Co to?“ — Powiada: „Miasto, do ktorego jedziemy“. — „Hej! tak-ze mi pan mógł gadać! Ja myślał, ze ka w jakie turnie.. Miasto na górze! Cud świata“. Pozieram i myślę se: „Hej! musi tyz tam być wesoło!“ i przynaglam grandę

bestyję, ale kabyś ta poradził. Droga sie robiła coraz bardziej stroma, i ledwośmy sie pomykali.

Widziało mi sie zdołu, ze za godzinę tam będziemy, a tu dobre półtrzecia godziny usło, nim my do murów dobili. Wjeżdżamy... i jakby mie kto pałką po łbie przywitał... Smród, brud, no jednym słowem — ućciwszy was i te obrazy — nawóz... Pojrzę na pana — i jemu sie niedobrze zrobiło. Ino jeden poganiac, jakby nowe fantazyje nabył, wywija kijem i wykrzykuje, co głosu moze wydobyć: „Avanti!“

Na to zahucalo tak w mieście, jak w ulu pełnym trzmieli. Ze wsyćkich okien pocęły sie wychylać głowy rozmaite — najczęściej śniade, kosmate i nieumyte — i pocęły latać słowa, wykrzyki niezrozumiale; jednoch se ino zapamiętał, co się częściej powtarzało, to jest „forestjeril“ Nie wiem, co to miało znacyć, ale na to, jak na hasło, pocał sie naród zewsząd zbiegać, i wnet cale miasto sło juz za nami z okrzykami, jakby sie nas tu od wieków spodziewali.

Myślę se: „Cy tyz to nie pogany, i cy nie wzięli pana mojego za Mesyjasa? Zdajać sie moze i to, ze na ośle wjechał“. Tu mi przysło zaraz: „Ze jakby tak, toby nam tu było dobrze. Dbaliby o nas, dawaliby, coby ino dusa zapragnęła. Niech ze ich tyz ta duch święty nie oświeca, pokiela my są — myślę se — boby my duzo byli stratni“. Tak mie ta myśl opętała, zech jak w osolomieniu

postępował. „Coz ja w takim razie? — To ja apostoł“. I przybierałech twarz, jak na apostoła. Ino mi to przeskadzało, zech musiał co chwila uskakować, coby onycek nie skalać w nawozie.

W takiej paradzie postępowałimy po stopniach, bo tam ulice były jak schody, az my sie wydostali na jakiś plac nieduzy. Tu mój pan zlął z tego osła, mnie polecil pakunki zdjąć z grandy bestyi, a potem odrachował poganiacowi piniądze, za jakie sie z nim ugodził, i kazał, coby se bydłeta pojał. Poganiac na to, niby ze sie mu mało widzi, co mu pan dał, powiada: „Syniore! jo sono molto fatigato!“ I nijak nie chce ustąpić. Ja tyz, chcąc panu dospomóc i pokazać Włochom wsyćkim, ze ja ich gdakanie rozumiem, a przytem i reśpekt zbudzić, jak nie skocę ku niemu: „Tyś molto fatigato? Ty?“ A więcy-ch wrzaskał, nizeli-ch sie złościł. Odrazu stał sie pokorny. „Widzis“ — powiadam — „granda bestyja jest molto fatigato, bo ona dźwigala pakunki! Ino sie nie zabier wartko!“ Nic juz nie pedział, zajał bydłeta i pognał.

Wtedy mój pan zwrócił sie do ludzi, stojących wokoło i zaczął sie rozpytować. Dopieroz i ja mógłech sie im przyjrzeć. Wsyscy byli chłopy, choć nibyto miastowi, ani jednego pana między nimi; mieli na sobie obcisłą przyodziew, na nogach kyrpce, kapelusiki nieduze na głowach; włosów widać nie strzygli, bo im spadały w strąckach

koło syje; rośli byli i śmigli, a na twarzach carniawi i śniadzi, oczami patrzyli bystro, i nie ni mieli przyjemnego w sobie. Oświaty tyz zadne wi dać nie było na nich. Jak miasto było brudne, tak i oni. Juhasi z Tater wyglądaliby przy nich jesce biało. Kobiety tyz ta niewiele inakse.

Przypatrowalech sie i myślałech se: „Skąd sie tyz to takie miasto wzięło, po co je tu wymurowali, co ci ludzie tu robią, z czego zyją, bo przecie cheba kamieni nie gryzą“. — Wtedy pan sie zwraca do mnie: „No, Jędrek, ni mamy tu co długo popasać, bo tu ani hotelu, ani gospody, ani nic nima. Musimy wracać“.

„Jako“ — pytam sie — „a kanyz ta pani jangiela, za którą my przyjechali?“ — „Nima jej juz“ — powiada. — „Była, obejrzała i pojechała dalej. Kto wie, kany jest teraz“. Zły był i stróbowany wielce. „No niech se pan uwazy“ — mówię, bo mi sie go zal zrobiło. — „Baba, to jak koza. Choćbyś ją najbardzi chciał dogonić, jak sie uprze, to ją nie dogonis. Juz je tu, juz je haw — kark mozes skrócić, jakbyś seł za nią, ka sie jej zabazy. A choćbyś ją i dołapiel, to je jesce nimas. Babę trzymać w rękach, to tak jak mgłę“. — „Głupiś!“ powiada mi pan we złości. „Moze i to być... Niesprzeciwiałech sie, bo coz, w takim interesie to ja by sie jesce bardzi złościł. „A ni mozna by tyz tu co dostać zjeść?“ — pytam sie pana nieśmiało, bo od Rzymu nic nie miałech w gębie,

i pan tyz musiał zgłodnieć. „Djabła!“ — mówi — „juz-ech sie pytał. Nic ni mają, cheba kozie mleko“... Tfu!... splunąłech, bo mi sie zbacyło, jak mie raz u jednego komornika pocęstowali, niech im Bóg nie pamięta, dobrzy ludzie. „To to koziarze! Widać... Z cegozby inzego zyli? Ale po co im to miasto, te murowanice? Skryłby sie hycel pod krzak, jakby niepeć przysła, i byłoby. Po co ludzi émić zdaleka miastem. Ale widzą pan — mówię — jak oni nas opatrują, jak oczami tak-sują kuferki. To niebeśpiecny naród“...

„No, zbieraj sie!“ Przynagła pan. „No dyć dobrze, ja gotowy, pakunki zaraz bierę“ — mówię — „ale jakze tak na piechotę... przecie tu moze mają jakie bydłę, coby pan na niem zjechał“... — „Nic nima“ — mówi — „ani osła, ani zadne rzecy, ktora jego jest. Leć wartko, zatrzymaj poganiaca, niech zawróci“.

Poleciałech w te pędy, dostałech sie wnet na otwartą drogę — widzę go zdaleka, wołam — ten nic, jak głuchy. Zleciałech na dół i dopadłech go na zakręcie. „Dawaj pikolę bestyję!“ — mówię zdysany — „abo grandę, abo obie wraz. Co tchu!“ I zastąpiłech bydłotom. A ten kijem wywija i zagania. Nie chce. „Zjadłes djabłów! Ja cie tu będę prosił!“ Porwałech osła za chomont i ciągnę. Ale kabyś z bestyją... Zaparł sie wsyćkiemi sterema nogami, i ani rus. A Włoch ręce włożył w kieszenie i patrzy. Taka mie wiecie wtedy złość por-

wała, zebych był osła zabił, i tę drugą bestyję, i tę trzecią. Ale jakiś święty ustrzegł. Ludzie jacyśi dochodzili, toz to mi opamiętanie przysło. Zwróciłech się do poganiaca i zacząłech mu na rozum wykladać: ze niech się nie boi, ze zarobi, ze tych ludzi na świadków bierę... Ale nie, nie dał se wyłożyć — pognał.

Co było robić. Nakłąłech mu ino w duchu i zawróciłech nazad. „Co tyz to za naród!“ — myślałech se idący w górę — „ani tak z nim, ani owak, jak i z tym osłem“... Pan na mnie cekał, rozmawiał z Włochami. Niecierpliwił się juz, widać. Skoro mie dojzał: „Coz?“ — pyta sie wartko. „Nie chce zawrócić. Pognał“. Pan podumał chwilę. „No, bier kufry, i pódziemy“. I poślimy, ale insą drogą, o ktorej panu powiedzieli, ze je krótsa i do inse stacyje prowadzi.

Uślimy juz kawał setny... Mościewy! jak nas tyz złapil dysc, to sie widziało, ze nas do znaku zatopi. Nie strugi, ale potoki z chmur, z nieba prościutko na nas leciały. Wyznalimy tyz! Ja jesce, jak ja — to mi ta nie dziwne, choć takiego naremneho dysca to u nas nie bacę — ale pan mój to juz ledwo lażł, taki był biedny. Zał mi go było doprawdy, choćech i siebie lutował, bo mi kufry ocięzały od wody i gnietły plecy. Pociesiałech go, jakech mógł. „To nic“ — mówię — „to przeleci, choć nas ta pomocy“... To znowu chciałech go oześmiesyc, i mówię. „Prose pięknie,

niech mi tyz powiedzą, jak sie ten kozi wierch nazywa, niby to miasto, ka my byli... Bo bych chciał to imię zapamiętać dzieciskom na przestrożę, jakby sie im cego zachciewało“... Pan ino załośnie na mnie pozierał za kazdem słowem, tom juz potem i nic nie gadał.

Dostalimy sie wreście do stacyje. Ale suche nitecki nie było na nas. Pan sie odrazu do ciekalnie zamknął i przebrał sie doznaku, a ja juz taki mokry musiał ostać.

Potem pan zawołał, cyby ni mozna co dostać zjeść. Dali nam ośle synki, bo nic inzego nie było. Kiedy indziej byłbych nie spojrzal nawet na to, a wtedy mi tak ta synka smakowała, jak nigdy nie w zyciu.

Pan jesce w kolei trzął sie od przeziębienia. O jangielce nie dał se wspomnieć i z te złości, jak my do Rzymu przyjechali, poseł zaraz do hrabine i nie wrócił, aze nazajutrz koło połednia.

W Rzymie niedługo my juz potem byli. Ino kielka dni. Pan postanowił powrót. Mielimy jesce do Neapolu pojechać, ale pan duzo piniędzy pozycył hrabinie i juz mu brakło. Nie załowalech, ze my tam nie pojechali, bo raz, zech ku chałupie pociągał, a potem słysalech, jak któryś z malarzy mówił, ze „widzieć Neapol i umrzeć“ z tego widoku... to mie tyz nie bardzo ciągnęło.

Wracalimy insemi drogami, samemi kolejami, az sie cnęło. Jechalimy oba z panem w trzeciej

klasie, bo jakich już powiedział, pieniędzy nam nie wystało.

Pan jechał smutny i mało co bez drogę gadał. Oczymałech mu, jakich mógł, ze wszycko będzie dobrze, ze choć Jangielkę djascy kanysi ponieśli, to z hrabiną sprawa pewna, skoro koucyja założona — niech sie nie trapi — ale nieporada go było ozbawić. Wreście i dalech spokój, bo i mnie myśl ku chałupie uciekała, skoro my sie zblizali, jak tyz ta co, cy w domu zdrowi, cy zbiórki będą na polu...

Ozstalimy sie z panem na nasej stacyi — pan pojechał ku Zakopanemu, a ja zaś poseł ku chałupie. I to wszycko. Jak Bóg pozwoli kie, to go przy casie odwiedzę.

— Toście dudków nijakich nie przywieźli? — spytał w końcu człeczyna, który cały czas przydrzymywał i słowem się nie wtrącał.

— Pieniędzy bom nie przywiózł — odrzekł Jędrek — ale com użył, com uwidział, com sie naucyl, to tego nie kupiłbych za cały swój grunt. I wiecie, co se pomysłuje... ze kto wie, cy Panie-zus umyślnie nie zesłał pana, aby mie w Tryje-strze spotkał, a moze i ci, co mi piniądze ukradli, byli od któregosi świętego natchnieni?

WESELE PROMETEUSZA

Wśród niewielkiej cząstki ludzkości, która zna imię Prometeusza i wie, kim on był za młodu, powszechnem prawie jest mniemanie, iż ten wykradacz ognia niebieskiego przykutym był z woli bogów do skał na Kaukazie.

Nikt jednak dowodu na to nie przytoczył. Nikt też nie widział onej skały, do której był rzekomo przykuty, ani nawet ogniwa z łańcucha, krępującego jego boskie członki. Rzecz się sprowadza, jak każde podanie, tradycją poparte jeno, do wątpienia: Mógł być przykuty tam, albo też gdzieindziej.

Wiele zaś przemawia za tem, iż Prometeusz przykutym był w Tatrach — do Gewontu.

Tu bowiem wszystko się działo. Z Tatr Pan Bóg na świat swój patrzył zaraz po stworzeniu i cudował się sam sobie, że go tak pięknie uzdał — tu stworzył naszych rodziców, Adama i Ewę — tu był ów Raj, o którym do dziś tyle gadek chodzi — tu się Paniezus urodził, naski i żydowski... Tak prawił stary Sabała, gazda świadomy rzeczy, wiarogodny.

A i z bogami coś Grecy pocyganili — wiadomo, handlerski naród. Bo gdy na Olimp Spółka berlińska wnet tramwaj wyprowadzi, iżby cały świat mógł widzieć dowodnie, że tam pustka — tu w Tatrach, wiemy, są siedliska bogów niedostępne dla najbardziej zwarjowanych turystów. Tu też podziśdzień boginki się płaczą: — stary kościelny (już nieboszczyk) mógłby był przysiąc, iż widział ją na własne oczy, jak prała chusty w potoku, piersi zarzuciwszy sobie na ramiona... No, nie dziwota — postarzyć musiały się setnie — tyle wieków...

I wreszcie fakt znamieny. Któryś z raubszyków, Krzeptowski czy Gąsienica, zastrzelił nad Krzywaniem sępa... Wiadomo, w Tatrach sępów niema. Mógł być tylko jeden, który wyjadał serce Prometeuszowi. — I ów sęp, wypchany, znajduje się dziś w Muzeum Tatrzańskim, co każdy może na swoje oczy sprawdzić.

A jeśli te dowody jeszcze nie wystarczające, niechże je poprze poniższa opowieść, której prawdziwości nikt chyba z ludzi, cokolwiek znających się na prometeizmie, nie zdoła letko zaprzeczyć.

I.

Pewnego odwieczora szła doliną Strążyską panna Irys z Warszawy...

Imię to sama sobie nadała z uwielbienia dla poezji, w której podówczas panowały irysy, orchideje, nenufary i inne kwiaty z wyspy Ceylon. Papa jej wprowadzie, jako kupiec, tylko kawę stamtąd sprowadzał, lecz panna Irys wykwitła, można rzec, ponad prozę życia i do poezji egzotycznej czuła wielki pociąg. Czuła też pociąg do poetów. Lecz „prawdziwego“ poety, o jakim marzyła, dotąd niestety nie spotkała w życiu. Więc melancholją cała była przesiąknięta i mówiła smętnie, że umrze na suchoty. A że znów papa tem się gryzł i żółkniał, jeździła co rok do Zakopanego.

Zatem pewnego odwieczora szła doliną Strążyską i myślątkami smętnymi bawiła się, jak paciorkami różańca. Szła w głąb doliny bez zamierzonego celu i zwolna zbliżała się ku Gewontowi.

Z obu stron drogi wydzwigiwały się z czarnej omroczy smreków potworne skalne postacie. Stały

w ruchach zakrzeplonych groźne, wyniosłe, zasępione. Słońce, zapadające za wierchy, rdzawiło je odblaskiem, rzeźbiąc wyraziście ich martwe, za-
stygle rysy.

Nie widziała tego wszystkiego panna Irys, paciorkami myśli swych zajęta. Choć owszem lubiła góry: jako piękną dekorację do swej melancholijnej postaci. I lubiła też sama zapuszczać się w doliny znajome; czuła się tam jakoby na scenie wobec niewidzialnej widowni. Zżyła się tak już z rolą swoją, że i myśli układała odpowiednio do oczu, twarzy, całej swej irysowej łodygi.

Idąc, myślała o tem, jakie to życie jest nudne — jacy to ludzie niewdzięczni — jaki to ten pan, co w pensjonie przy stole naprzeciw siada, jest zarozumiały — jak w tem Zakopanem pusto — jak jej w tym kapeluszu musi być do twarzy — i jaka szkoda, że nikt jej teraz, tak nieszczęśliwej, nie widzi.

Zbliżała się właśnie do ściany Gewontu. Podniosła oczy wilgotne... i z gardziółka jej wyrwało się zdziwienia, zachwytu pełne:

— Ach!

— I ciszej już, radośnie rzekła:

— Prometeusz!

A Prometeusz, który właśnie ziewał, przyciął zębami i stropił się niepomiernie.

— Ależ... pan przykuty! — zawołała z prawdziwym współczuciem.

— Nie... ja... właściwie... — jękał Prometeusz. — To jest... łańcuchy rdza przegryzła...

— Więc pan związany? Biedny... Ja pana uwolnię! — rzekła rezolutnie i szybko, nim Prometeusz się opatrzył, poczęła rozplątywać więzy. Powrozy były od deszczów stwardniałe, więc zębami sobie pomagała i mówiła przytem w podnieceniu:

— Ale to pan musiał cierpieć strasznie!... I nikogo pan nie miał... Tak sam... w tej pustce...

— Miałem... sępa — szepnął oszołomiony Prometeusz.

— I to jeszcze do tego! Ach!...

Podjęła rękę jego z więzów uwolnioną i szybko pocałowała.

Prometeusz wyrwał dłoń, strwożony.

— Niech pan nie broni... To nie dla pana, tylko dla jego bólu... — mówiła z przejęciem szczerem.

Resztę więzów Prometeusz, zawstydzony jej dobrocią, sam wolną ręką pomógł już rozplątać i wkrótce stanął, uwolniony. Ukłonił się niezgrabnie w podzięcie — i poszli razem na dół doliną Strążyską.

Panna Irys teraz z ciekawością rzucała nieznaczne, szparkowe wejrzenia na postępującego obok niej Prometeusza. Zauważyła, że rysy ma ładne, jeno schudł nieborak strasznie. Przytem ten ubiór niemodny... Ale to się da naprawić — pomyślała w duchu. — Zresztą wcale... wcale...

— Czemu pan taki milczący?

— Ja? — wyjąknął, strwożony. — Myślę, jaka pani dobra...

Panna Irys zarumieniła się zlekka, zadowolona.

— Oh, nie mówmy o tem, proszę... Niech mi pan wierzy, że dla każdego uczyniłabym to samo. Nie mogę patrzeć na cierpienia...

— Kiedy ja... właściwie... — jąkał Prometeusz i w myśli dokończył, rozumiejąc, iż głośno wyrzekł. W samotności długiej nie odróżniał już myśli od mowy.

I dalej postępowali w milczeniu.

Panna Irys wysilała swój umysł, iżby powiedziec coś bardzo głębokiego, coby Prometeusza zachwyciło, ale napróżno mozoliła główkę — nic nie mogła umyślić. To ją zaś niepokoilo, a wreszcie i gniewało, iż on szedł obok niej, a zdawał się czem inszem mieć głowę zajętą.

— Spocznijmy chwilkę — rzekła, siadając na jednym z głazów, które wały się w piargu koło drogi.

Prometeusz posłusznie usiadł obok.

— Jak tu pięknie! — szepnęła po chwili, zatopiona, zda się, cała w zachwytnem zamyśleniu.

— Tak — odszepnął grzecznie Prometeusz.

— Ach, jak ja kocham piękno! — mówiła głosem melodyjnym. — Nic poza tem na świecie mię

nie zajmuje. A zwłaszcza góry... Ach, wiecznie chciałabym tu mieszkać!

Spojrzała przymglonym wzrokiem na Prometeusza i zauważyła w jego oczach zdziwienie wdzięczne i zachwyt. Więc tembardziej zatopiła się w zadumie i, jakby przez sen zachwytny, mówiła:

— Co za rozkosz tak bujać, jak orły ponad wierchami... zdaleka od gwaru ziemskiego, od ludzi... i żyć tylko wśród piękna, które nas otacza...

Przez mgłę dojrzała w oczach jego już tylko zachwyt szczery. Tłumiąc zadowolenie serca, spytała tęskno:

— Pan tam, mimo tych cierpień, musiał być szczęśliwy...

I popatrzała mu w oczy.

— Tak... czasem — odrzekł spłoniony Prometeusz. — To jest... śniłem o szczęściu...

— Tak patrzeć z wysokości na cały świat... na ludzi...

— Właściwie, to...

Namyślał się, niezwykniony do słów, jak uprzyścić swoje skromne wnętrze przed tą piękną, poetyczną duszą.

— Właściwie wszystko, co... myślałem, odnosiło się do ludzi... Nie mogłem o nich zapomnieć, mimo... sępa. A może właśnie... przez niego. Przyznam się pani... chciałem się przemóc, zdusić ten

ogień święty... Lecz ogień nieśmiertelny. Sam dłońmi swemi wyniosłem go z Olimpu...

— Ach! słyszałam — rzekła z podziwem panna Irys. — Wiele o panu pisali... I przyznam się panu szczerze, że czasem te pochwały zdawały się mi przesadne. Ale jak pana poznałam...

— Cóż ja... zaprawdę nie zasłużyłem — jękał, wzruszony. Po chwili jął się znów spowiadać. — A drugą myślą, która mię nie opuszczała, to sęp... Z początku złorzeczyłem bogom i myślałem o nim ze strachem... później z goryczą... a potem z pewną sympatją... a nawet, przyznam się, tęskniłem za nim...

— Ach, ja pana rozumiem... — szepnęła ze współczuciem.

— Gdy go długo nie było widać, wzywałem go. Nie dziw — karmił się moją krwią serdeczną. Byliśmy niejako krewni.

— A ta rana... Pokaż mi pan tę ranę! Odkryj się, jak przed siostrą.

— Niech pani przebaczy, nie mogę teraz... może później...

Milczeli oboje czas jakiś.

Prometeusz, wzruszony jeszcze, począł: — Co najboleśniej rani, to właśnie jest drogiem.. drogo przez ból kupionem, przez ten ogień. Sto kar niechby podobnych... skradłbym jeszcze! Miłość przemienia.

— Och, miłość!... — szepnęła marząco panna Irys.

— Nieraz, gdy noce czarne przysły i, jak daleko okiem sięgnąć — a ze sępiej swej wyżyny przebiegać mogłem obszar wielki — nigdzie światła... Wówczas rozpalala się rana mego serca i, jak ognisko rubinowe, świeciła w pustce zmroczniałej. Czulem się latarnią zbawczą dla pielgrzymów, zawieszoną u wysokiej skały.

Stał się wielce wymownym, aż panna Irys z nieukrywana radością przerwała:

— Ja czułam, że pan musi być poetą! Prawda, że zgadłam?

— Niestety — odrzekł, stropiony — nie pisałem wierszy. Mogłem tylko śpiewać pieśni o swoim... sępie.

— Właśnie, o sępie. Ja to gdzieś nawet czytałam. Pan jest prawdziwy poeta!

— Oh, pani — bąknął zawstydzony Prometeusz.

I znowu milczeli chwilę.

— Jak to dziwnie los kieruje... — rozpoczęła tym razem panna Irys. — Zawsze lubiłam chodzić w tę dolinę. Jakby przecucie jakieś mię tu wiodło. A dziś tom szła jak we śnie, jakąś siłą tajemniczą pchana... i coś mię ciągnęło w głąb... ażem spotkała pana.

— To dziwne... — rzekł podobnie wzruszony Prometeusz — bo i ja... jakbym się pani spodzie-

wał. Nieraz patrzyłem tęsknemi oczyma nadół... a widziałem cię w myślach... Pani mi już od dawna znajoma.

Spuściła rzęśnie powiek i patrzyła ku ziemi na nos wysuniętego bucika, oczekując dalszych wynurzeń. Lecz Prometeusz zająknął się, jak student przy pierwszych oświadczeniach, i przerwał, zakłopotany. Wtedy panna Irys, jakby nagle zbudzona z zadumy, podniosła się z westchnieniem z kamienia.

— Już wieczór!... Co tam w domu powiedzą! Musi mię pan odprowadzić.

Skłonił się w milczeniu — i poszli wspólnie otwartą doliną.

— Jakiż pan małomówny! — rzekła panna Irys niejako z wyrzutem, gdy uszli spory kęs drogi, nie mówiąc.

— Przepraszam... odwykłem od towarzystwa... zdziaczałem — sprawiał się, jękając znowu, Prometeusz.

— My pana oswoimy! — szepnęła ciepło i wejrzała nań bokiem litośnie, uśmiechając się do serca swego.

Właśnie wychodzili z doliny na przestrzeń rozwartą.

Prometeusz zatrzymał się nagle, popatrzał z trwogą przed siebie, a potem zwrócił spojrzenie w dolinę, długie, ociągające się i jakby wyczekujące.

— Co panu? — z przestraczem spytała.

— Nic... mój sęp...

Panna Irys zachnęła się niecierpliwie, lecz, nie okazując głosem irytacji, rzekła z przyjazną perswazją:

— Niechże się pan już nim nie trapi! Dość się pana nagryzł! Kto widział tak się poddawać... I to Prometeusz!... No, nie smęcić się! — dodała ciepłej i ujęła jego ramię.

Niepokój gasł w jego oczach i nikło jego osępienie pod ciepłym jej słów serdecznych. Bezwolnie postępował obok wśród mroczniejącej już równiny.

— Niechże mi pan da rękę... Tak tu dziko...

Spełnił rozkaz posłusznie.

— A więc ten sęp wciąż pana straszy.. Brzydkie ptaszysko! Doprawdy, jestem zazdrosna. Ani jednej uwagi dla mnie. Cała myśl tam — przy Gewoncie... Nie, tego nie zniosę! — mówiła w naiwnym zadąsaniu. — Sępa każę zastrzelić...

— O!

— Tak, z zazdrości, zapowiadam... A potem weźmiemy się do pana Prometeusza!... Ranę wyleczymy... smutkowi nie damy przystępu...

— Zatem nowe więzy? — rzekł żartobliwie.

— Jedwabne... Trudniejsze do przerwania...

— O bogowie! Niezmienne są wasze wyroki...

II.

— Kochasz?

— Kocham!

— Powtórz jeszcze...

— A więc: Kocham! Kocham! Kocham!...

— Mój złoty...

— Iry moja...

Siedzieli na ławeczce, splecionej z białych palików brzoźowych — w parku. Dokoła nich i w nich jaśniało słoneczne rano. Byli od paru niedziel zaręczeni.

Długo opierał się temu ojciec panny, nie chcąc mieć, jako kupiec solidny, za zięcia człowieka o zgoła niepewnej przeszłości, bez stałego miejsca zamieszkania.

— Nieznane nazwisko...

— Ależ tatku! Cały świat mówi o nim...

— Coś słyszałem, ale...

— Jakby to papie powiedzieć... On zeksproprjował ogień, na który Olimp miał monopol!

— Sprawa nieczysta, znaczy się...

— Ależ najczystsza w świecie!

Nie dawał się przekonać. Dopiero, gdy panna Irys, zużywszy przy pomocy ciotek wszystkie sposoby, sposobiki, oświadczyła, że umrze, rad nie-rad musiał się zgodzić; nie wcześniej jednak przyzwolił na zaręczyny, aż Prometeuszowi za jego staraniem przyobiecano posadę w banku.

Teraz wolno im było publicznie okazywać sobie miłość, całować się, pieścić spojrzzeniami, chodzić we dwój do teatrów, jak i do kwietnych od strojnych kapeluszy parków.

Prometeusz nie z odpowiednią ochotą to czynił. Miał jeszcze jakieś onieśmienie przed ludźmi, pozostałe z pustelniczego okresu, i nowo rodzącą się, w miejsce dawnej, bezkrytycznej a stanowczo zamierającej, do ludzi miłości, jakąś niejasną niechęć do nich, gdy się im przyzierał zbliżka. Lecz panna Irys gwałtownie pragnęła ukazywać się z nim razem na oczach ciekawości ludzkiej. — niech widzą, niech żółknieją z zazdrości przyjaciółki, że Prometeusz jest jej narzeczonym. Z niemałym bowiem trudem do tego wreszcie zdążyła.

Siedzieli więc obok siebie na ławeczce, osłonionej krzewami bzu, i obyczajem narzeczonych darzyli się uśmiechami i jasnością ócz rozszczęśliwionych.

— Jakiś ty śliczny! — wyszeptała w uniesieniu, spodziewając się dla siebie conajmniej podwójnych zachwytów.

Lecz Prometeusz nie douczył się jeszcze podręcznika dla narzeczonych, gdzie na końcu są odpowiednie rozmówki. Posiadał dotąd w tej kwestji elementarną tylko wiedzę. Zatem milczał, uśmiechając się grzecznie w podzięcie, a przytem nie zauważył, jakoby w słowach przesadzała.

Istotnie, w modnem ubraniu, o zaokrąglonem już i zaróżowionem nieco obliczu, gdy, przechodząc ulicą, przezierał się w szybach, widział, że nie wygląda gorzej od pięknego z najdroższego bazaru subiekta.

— Mój Promuś!... — szepnęła, pieszcząc oczami jego wyładniałą głowę.

Prometeuszowi niemile zabrzmiało w uszach to zdrobniale urobione imię. Uczuł pewien wstyd i jakoby zawinienie pewne wobec... sępa.

Spoważniał i myślą przeniósł się do swoich gór. Gdzie *on* też teraz?... Pewnie z tęsknotą krąży ponad skałą — a skała pusta... Zmęczony kołowaniem, siada na cyplu skalnym i głodny wzrok puszcza wdół po wancie, gdzie tkwi jeszcze rdzą przegryzione ogniwo...

— Gdzież tak daleko patrzysz? — zagadnęła go Irys, nachylając się przed jego oczy.

Popatrzył poważnie na nią, jakby nie słyszał pytania.

— Cóż tobie? — rzekła już zaniepokojona. — Patrzysz na mnie, a nie widzisz mnie. Obudź-że się!

— Wydaje mi się, jakobym był zbiegiem... — rzekł powoli.

— Nie rozumiem cię.

— Tak, tak...

— Żeś się wyrwał z tych więzów?...

— Czym powinien być...

— Ależ rzecz prosta. Czyś nie cierpiał? Któż dobrowolnie chciałby mękę znosić? I za co? Za jakie grzechy? Masz się też jeszcze czem trapić!

— Zapewne... tak... cierpiałem... lecz...

— O cóż ci idzie?

— Słuchaj, Iry... Chociaż — cóż mówić...

— Ależ mów! proszę...

— Czy ty nie będziesz mieć nic przeciwko temu... to jest... nie tak...

— No mów-że! drogi...

— Czy ty zrozumiesz mnie, jeżeli...

— Całem sercem będę chciała...

— Jeżeli czasem wrócę tam... Gdybyś ty wiedziała, jakie tam miałem sny!... z Gewontu...

— Ależ drogi! — najchętniej! — sama pójde z tobą... Wiesz przecie, jak ja kocham góry. Ach! Zakopane! Nienawidzę miasta. Będziemy chodzić razem w to miejsce... pamiętasz? Będziemy sobie przypominać. Będziesz mi opowiadał o swoich tam snach — i o tym... sępie. Gdybyś wiedział, jak ja go nienawidzę...

— Iry!

— Nienawidzę go za to, żeś tyle przez niego cierpiał...

— Kiedy on mi drogim... był.

— Cóż cię teraz obchodzi? Nie myśl o tem. Nie wracaj. Myślałam, żeś się już raz na zawsze pozbył tej myśli dręczącej... Że jak będziesz miał mnie... Chyba, że się nie czujesz szczęśliwym...

— Iry...

— Bo pocóż wracałbyś do tego, co cię żarło.

— To jest rzecz... widzisz, trudno wytłomaczyć... Coś każe dawać się w ofierze... jakaś odpowiedzialność wobec trybunału, który jest jakoby wewnątrz nas — i sędzi.. Nigdzie ucieczki od tych sądzących oczu...

— Ucieknij, schroń się ku mnie...

— Tak... gdy w twoje jasne oczy patrzę, tracę ten wzrok sądzący... Lecz wstaje znów niepokój we mnie, jakby jakoweś zawinienie...

— To nerwy, wierz mi, to tylko nerwy. Zżarła cię ta męka, ten... ten... sęp!

— I wiesz... Hm, spowiadam się tobie, jak duszy swej...

— Twoja! — rzekła ciepło, przytulając się wdzięcznie ku niemu.

— Jest jeszcze jedno, co mię niepokoi.. Nie czuję już w sobie tego żaru — od ognia, który bogom wydarłem...

— To ten ogień, co z Olimpu?..

— Tak — miałem go w sercu...

— Toż to piekło!

— Piekło i raj... Wszak to ogień boski. Trwożę się, żeby nie zgasł...

— Nie zgaśnie, jak ci o to chodzi...

— Na pustce rozżarza się, jakoby od wiatru, a pośród ludzi przygasa, a przecie ja go dla ludzi...

— Co cię ludzie obchodzą?

— Teraz mniej... I to mię również niepokoi.

— Ach te niepokoje wieczne?... Zabij je w sobie, zniszcz, odpędź — nie daj do serca przystępu...

— Hm... — tak powinien mówić mój wróg.

— No nie! Ja tak tylko... Nie myślałam wcale...

Promuś!

Zesmutniał i zwiesił głowę. (Dlaczego znowu „Promuś“?)

— Mówiłam ci przecież, że chętnie pójdę z tobą — tam i wszędzie, gdzie zechcesz. Ale jeżeli miałabym ci być kulą u nogi, wołałabym... wołałabym...

— No, Iryś... cóż znowu... skądże to przypuszczenie?... Łzy? Na Boga, Iry... bo zcałuję.

— Ja tak góry kocham (przez ciebie), a ty mi ciągle wyrzucasz...

— Nic nie wyrzucam.

— Z ludźmi pozrywałam (dla ciebie) i u nikogo nie bywam...

Prometeusz zdziwił się tym jej słowom, zastanowił się nieco, lecz wnet wątplenie jego się rozwiało, gdy pomyślał: „Musi tak być zaiste, skoro tak mówi. Zapewne już u nikogo nie chce odtąd (ze względu na niego) bywać“. Z wdzięcznością rzekł:

— Dziękuję ci. Nie wymagam przecie, Iry, że-

byś ze względu na mnie oddalała się od ludzi. Mój świat — to pustka...

— A czy nie uciekałam od ludzi ku tej pustce, nim cię jeszcze znalazłam?... Czym nie szła ku tobie naprzeciw?

— Prawda...

— To też i teraz twój świat będzie moim.

— Iry najdroższa!

— Będę z tobą włóczyć się jak mgła — po wierchach — ponad urwiska, przepaście...

— Słonko moje!

— Ach Tatry!... Nieraz śniłam, że chodzę z tobą po tych turniach, żlebach, krzesanicach, a ty mi opowiadasz o skarbach tam zaklętych, o zbójnikach...

— Kochasz ten świat bajeczny?

— Niewymownie!

— Pójdziemy w ten świat, Iry...

— Tylko, mój drogi, mój złoty, zaraz po ślubie nie wypada. Za blisko. Po ślubie pojedziemy do Włoch. Albo nie. Do Włoch wszyscy jadą. Nawet Stacha z mężem — choć jej ojciec robi tylko w detailu. Gdzieś, gdzie rzadko kto od nas.. do Szwecji! albo Norwegji! Ach, fiordy! fiordy! Jak ja kocham fiordy! To musi być coś wspaniałego. Dobrze?

— Wszędzie z tobą!...

— Albo wiesz, gdzie? Na Krym. Tam podobno drugi Neapol.. cyprysy!.. Tylko, że tam znowu —

blisko Kaukaz... Wszędzie te wstrętne góry... chciałam powiedzieć: te miejsca, co cię tak... wzruszają. Chociaż ty na Kaukazie nie byłeś? jak mówią...

— Stare dzieje...

— Prawda?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Drogi — powiedz mi co wesołego o tym... sępie.

— ?

— Musiało zabawnie wyglądać, jak tak zlaty-tywał... i karmił się... co?

Prometeusz nagle sposepiał.

— Wiesz... ja go już kazałam zastrzelić.

— Co?!

Uniósł się. Lecz zaraz pomyślał: „Ja sam tylko mogę go zgładzić“.

A ona:

— Możesz mnie zabić za to.

— Iry! — odrzekł już rozpogodzony — mówisz jak dziecko...

— Bo ja... wszystko dla ciebie!

— Znowu lży?... Iryś?

Całował ręce jej, włosy, oczy — aż uśmiech na ustach jej zakwitnął.

— O, widzisz, tak najpiękniej.

— Nie gniewasz się już za tego sępa?

— Nie. Lecz, proszę cię, nie mówmy o nim.

— To ty nie myśl o nim.

— Już nie myślę.

— Albo wiesz... Ale nie śmiem cię prosić... Boję się, że znowu cię urażę...

— Mów, moje złote, nie urazisz mię...

— Kiedy...

— No proszę...

— Chciałam cię prosić... żebyś napisał wiersz... o tym sępie. Tak, jak to czujesz... i z dedykacją dla mnie...

— Spróbuję... choć trudno będzie...

— Ach, jakżem ci wdzięczna! Dziękuję ci, najdroższy. Będzie prześliczne! Już widzę. Ty sam nie możesz ocenić. Tylko wszystko tam włóż: i Tetry, i burzę, i grzmoty, i to... jak ci serce rani... rozrywa...

Prometeusz z uśmiechem, wstając:

— Wszystko, wszystko napiszę... spróbuję...

— Będzie prześliczne! mówię ci. Mój... poeta!

— Jak ty umiesz pętać...

— Srogie te więzy?

— Rozkoszne.

— Już nie żałujesz tamtych?

— Ani myśli...

— Będziemy szczęśliwi! Promuś!... Będzie nam dobrze, jak nikomu z ludzi! Będziemy mieszkać w lecie na wsi — w zimie w mieście... Mieszkanie urządzimy ślicznie. Sprawimy sobie meble zako-pańskie...

*Szli razem zwolna „alejami,
Pomiędzy drzewa, cisi, sami,
I padał biały kwiat lipowy“
Na ich marzące, śliczne głowy...*

III.

A iż nikt „nie wiedział o żadnej przeszkodzie“, po zapowiedziach formalnych odbył się ślub Prometeusza z panną Irys i zwyczajem wskazane wesele. O tem wydarzeniu, które, jakkolwiek spodziewane, „wstrząsnęło“ przecież „całą Warszawą do głębi“, pisał król reporterów w najpoważniejszym z wesołych dzienników:

„Już wczesnym rankiem, skoro świt zajaśniał, zgromadziły się tłumy ludzi przed kościołem wskutek ogłoszenia o mającej się odbyć uroczystości zaślubin znanej z piękności panny Irys, córki naszego znakomitego obywatela i kupca, ze znanym poetą i urzędnikiem banku... Prometeuszem.

„Właśnie zaświecały się księżycy lamp elektrycznych, gdy poczęły zajeżdżać przed kościół powozy. Wysiadły z nich strojne damy, wszystkie kwiat naszej stolicy, a obok nich panowie we frakach o śnieżnie białych gorsach, którzy z rycerską galanterją podtrzymywali je, gdy, jak niebianki z Olimpu, spływały po stopniach powozów na ziemię.

„Tłum cały, który tak rzadko niestety ma poetyczny obraz przed oczyma, podziwiał w wiele mówiącym milczeniu ten czarujący korowód.

„Nagle dreszcz przeszedł wśród tłumu. Przez białe ciągniony rumaki, ukazał się różami ubrany powóz, a w nim, jako zjawisko cudne... panna młoda. — *Ona* jaśniała jak jutrzienka czysta, a *on* zaś jak Apollo, w swej pochmurności wyższy ponad tłum śmiertelnych. — Lekko zestąpili na bruk i, otoczeni družbami, szli do ołtarza wśród szpaleru widzów, a za nimi płynął szmer podziwu.

„Po skończonym obrzędzie wracali taksamo, jeno oczy panny młodej jaśniały szczęściem, jak oświetlone brylanty, a nad czołem pana młodego unosiła się lekka chmurka, zrodzona z poważnej chwili. Organy skocznie grały.

„Poczem wszyscy wsiedli do powozów i pomknęli girlandą weselnego *corsa*, a tłum nędzny pozostał, długo nie mogąc wyjść z zachwytu i komentując to zdarzenie na różne sposoby.

„Apartamenty weselne, umyślnie na ten cel wynajęte w Grandhotelu, jaśniały rzesistem światłem. W powodzi świateł, róż, bukietów i powabniejszych od róż pań, zatracala się rzeczywistość, a wstawał obraz bajeczny z *Tysiąca i jednej nocy*, elektrycznie oświetlony. Jak w czarodziejskim kinematografie, przewijali się goście weselni przez szereg jasnych sal. A jak egzotyczny kwiat między swojskimi, wyróżniała się między pięk-

nemi druchnami rzadką pięknnością i strojem — panna młoda.

„Oto idzie — nie — płynie przez salę i miłosnemi oczyma szuka oblubieńca. Niema go w ciżbie weselnej. On samotności szuka — poeta... „Czym śpiewak dla ludzi?...“ Aż znajduje go w bocznym kiosku, marzącego. Oczy ich spotykają się i, szczęściem oszołomione, topią się w sobie... Gdzieś szmerzy fontanna — gdzieś słowik kwili.

„Z tego snu krótkiego budzi ich muzyka. Sale rozbrzmiewają dźwiękiem — goście kaskadą wabną puszczają się w tany — światła drżą... Czar walca. — Następuje wieniec tańców, w których się dusza, jak mówi poeta, obnaża. Wszystko się cieszy, raduje i zapomina o troskach dnia. Czar działa.

„O północy muzyka zamilkła, wezwano do kolacji. W złocistej sali przy stole przybranym w kwiaty zasiedli goście na miejscach, jakoby przeznaczeniem wskazanych: panowie obok pań. Wytresowani lokaje pod genjalnem okiem kierownika roznosili wabiące półmiski. Menu składało się z piętnastu dań. Wśród wykwintnych potraw i drogich pasztetów, nie brakło prawdziwych francuskich truflif, najdroższych win i południowych owoców. Wzruszenie ogarniało zebranych. Lecz prawdziwa zapanowała serdeczność, gdy wniesiono kosze szampana (pierwszej

marki). Wznoszono toasty na cześć państwa młodych i wiwatowano ochoczo. Pan młody, wzruszony tym wylewem uczuć, odpowiedział w przydłuższej nieco, bardzo poetycznej mowie, i choć niestety zawartych w niej głębokich alluzyj pod adresem nieobecnych nie wszyscy z gości zrozumieli, jednak mowa swoją oryginalnością zrobiła wielkie wrażenie. Zapanowała wylewność, właściwa tylko Słowianom — przy dźwiękach skocznej muzyki bawiono się ochoczo do białego dnia. „I ja tam między gośćmi byłem, miód i wino piłem“... (Asfer).

Podobne, choć nie tak poetyczne artykuły ukazały się i w innych gazetach.

Ludzie skeptyczni poczęli jednakże twierdzić, iż nie tak sielankowo — idyllicznie, jak opisywano, zakończyło się owo wesele. Coś przebąkiwano nawet o skandalu. — Poczęto pilnie wyjaśniać, co jeszcze rzecz zaciemniało.

Lecz my (mruknięcie w stronę czytelnika), którzy znamy Prometeusza z poprzednich dwóch rozdziałów, wiemy, jak się rzecz miała w istocie, i że ludzie, nieprzyzwyczajeni do gestów prometejskich, łatwo mogli uważać za skandal, co było w rzeczy naturalnem.

Nam już bez sprawdzeń wiadomo, że same niezwykajne przygotowania do ślubu musiały Prometeusza srodze oszołomić. W tem oszołomieniu stanął przed ołtarzem i mówił słowa przy-

sięgi. Lecz skoro tylko od ołtarza się odwrócił — jakby czar z niego spadł... Sakrament go odmienił. Czuł, że się coś za nim zamknęło — jakaś furтка, którą czyjaś dobra ręka oliwą nasmarowała, iżby pocichu się zawarła — i oto znalazł się niespodzianie (tak mu się zdało) na miłym podwórku. Patrzył w zdumieniu dookoła — i wszystko inaczej mu się przedstawiało, niż gdy wchodził. — Zdziczenie jego, niedoszczętnie widać przez zabiegi panny Irys wytepiłone, w tej sytuacji się ozwało. — Każdy oswojony człowiek patrzyłby we drzwi domu, cieszyłby się w sercu na przyjęcie, na miłą, tem ciekawszą, iż nieznaną gościńę. A on, jakby w potrzasku, szukał oczyma w płocie dziury, któraby można umknąć. A skoro widział, że niema nijakiej rady, przybrał poważną minę gościa — i z takim wyrazem szedł do kościoła.

W drodze, gdy przejeżdżali przez gwarną ulicę, z hałasu ulicznego doleciały ich okrzyki roznosicieli dzienników:

— Wesele Prometeusza!... Straszne utonięcie w balji!... Katastrofa!...

Prometeusz zasepił się — dowcipni tłumaczyli: przypomniał sobie sępa.

Panna Irys, przytulając się do jego ramienia, szeptała w rozpromienieniu:

— Ach, jakam szczęśliwa!

Zajechali do hotelu. Prometeusz snuł się mię-

dzy gośćmi, znowu dziwnemu oszołomieniu poddany. Przechodził z sali do sali, płatał się niezdecydowanie i z nieśmiałością niejaką, jakby się znalazł na czyjś weselu i to nie bardzo proszony. — „Właściwie poco ja tu...” — uparcie mu się nasuwało. Przewdawało mu się czasem, że jest w gościnie przymusowej... a ma gdzie iść — gdzie jechać — coś ważnego... Lecz trudno wymknąć się, furtka zamknięta. Czyja ręka? Czy los?...

Gwałtem chciał się otrząść z tego przykrego uczucia — przyuśmiechał się bez racji do osób spotykanych — coś do kogoś przegadywał — lecz na nic, nie mógł się pozbyć tej gnębiącej zmory.

I gdy tak z gościnnym na ustach uśmiechem a zaostrzonym wzrokiem snuł się po salach jasnych, zauważył, iż wszyscy goście tworzą społeczeństwo jakieś, którego on tam na swej skale, chowając ogień zrabowany, nie znał, nie przypuszczał zgoła. Znał tylko ludzkość i bogów.

Jaki jest — dumiał — stosunek jego do tej społeczności?... Miał uczucie niejasne: iż coś odkrył i zarazem coś stracił. Uczucie winy, dawno już w nim tkwiące, rosło aż do strachu. Szukał oczami swojej Irysi, i ze zdziwieniem ujrzał, iż ona w tem społeczeństwie czuje się między swoimi...

— Rrrond! — wrzasnął aranżer. W sali tańczono.

Prometeusz trwożnie usunął się — przebiegał

oczyma twarze — szukał krewnej istoty. Aż dojrzał w kącie malarza, którego mu dziś przedstawiono. Zbliżył się ku niemu i spytał.

— Cóż tu pan robi?

Malarz podniósł nań zdziwione oczy.

— Jestem na pańskim weselu. Miałem już zaszczyt...

— Aha. No nic. Chodźmy gdzie.. schowajmy się.

I pociągnął go za sobą do pustej, odległej salki. Wybiegł i za moment wrócił z flaszkami.

— Urządzimy sobie knajpę... — nalał wina do szklenic. — Pij, przyjacielu!

Wychylił kielich jeden — drugi. Pragnął się wyraźnie upić. Malarz wciąż ze zdziwieniem stacecznie akompanjował.

— Znasz pan moją historję? — zagadnął nagle Prometeusz. — No tak... bo to już historia właściwie...

— Znam... jakże... wiadomo powszechnie...

— Co pan sądzi o tem?

— Sądzę, że pan wiele musiał cierpieć...

— ...

— Za to bogowie odwdzięczyli się panu dniem dzisiejszym.

— Zemsta bogów jest słodką... pijmy!

Po chwili, czując, że coś dla wytłómaczenia się rzecz potrzeba, począł:

— Widzi pan... mówią: wino podsycza żar bo-

ski... A ja, przyznam się panu, mam takie dziś uczucie, jakby ten ogień we mnie zgasł... jakby go ktoś nogami zdeptał..

— Skądże to dziś u pana...

— Czuję próżnię... podczas kiedy tam czułem pustkę i żar. Och, tam!...

— A taką piękną pieśń niedawno wyśpiewał pan o sępie... Talent pański wciąż rośnie...

— Tak... „musi zginąć w życiu, co ma ożyć w pieśni“. Pij, przyjacielu!... Cichutko tu, zacisznie...

— Ale cóż powiedzą goście... Irys...

— Co nas to — do cholery... Pijmy!

Nachodziła go szczerłość warszawska.

— Słuchaj, bracie... Kochałeś się w Irys... Nie zaprzeczaj. Mówiła mi o pewnym malarzu... zna czy się: o tobie... Och, czemuś ty wtenczas... Znasz dolinę Strążyską?

— Nie.

— Wszystko jedno. Winszowałbym dziś tobie... Obaj my, bracie, nieszczęśliwi... Wypijmy „Bruderschaft“!

Piją. Prometeusz w rozczuleniu:

— Widzisz (wskazuje salę), tam jest „to, co nas pożera“... A ja czułem... Pamiętaj, nie chodź do doliny Strążysk!

— Cóż tam jest?

— Tam... kiedyś... krążył mój sęp...

— Więc nie na Kaukazie?

— I ty także... przyjacielu? Bajki, mówię ci, bajki chodzą o Prometeusza!... Wszystko jest bajką — i ty, i ja tutaj...

Rozległ się dzwonek — wołania — we drzwiach stanęło paru ze służby, wzywając do kolacji.

— Trzeba iść — rzekł malarz i podjął za ramię pijanawego dość Prometeusza.

— Czekaj... chciałem ci pokazać... Odejdźcie, niewolnicy... precz!

Rozchylił gors koszuli i rzekł z gestem odpowiednim, tajemniczo:

— Widzisz tę bliznę na sercu...? Tobie tylko, przyjacielu... Chodźmy.

Do stołu już zasiadano. Prometeusz zajął miejsce obok Irys i, czując na sobie badawcze spojżenia, przybrał wyraz obojętno-ponury. Malarza usadzono przy szarym końcu.

Tu trzeba uzupełnić sprawozdanie reportera; iż w czasie kolacji lekki pogwar, jak brzęczenie pszczołek nad kwiatkami, unosił się nad stołem, i że zamiast truflí podano zwyczajne grzyby, zwane po naszymu sowy, pasztetu wcale nie było, a po kolacji podano jedynie wino i piwo bawarskie (szampan pił tylko reporter, w wyobraźni). Toastów zato było bez liku, i kwartet z trzynastu głosów na częste „niech żyją!“ z akompanjamentem solowym wszystkich osób.

Skoro już trzydziesty trzeci toast podniesiono — a wypowiedział go mąż poważny i zacny, prezes

stowarzyszenia kupieckiego, wyraźnie pijąc do sławy pana młodego, o której „wszędzie, w każdej gazecie jest, i nawet w stowarzyszeniu kupieckiem odczyt jakiś tam miał o tem“, gdy poprzednie toasty dotyczyły głównie sypialni małżeńskiej — Prometeusz, który coraz to bardziej ponuro dziękował, uśmiechnął się niezgrabnie w podzięcie na ostatnie prezesa życzenie („żeby nam tak jak Sienkiewicz zajaśniał, i żeby stąd na nasz stan kupiecki spłynął honor“...), wychylił kielich, powstał i, przeczekawszy, aż się uciszyło całkiem, przybladły nieco ze wzruszenia, a czerwonawy od wina, rozpoczął:

— Szanowni i zacni goście!... Serdecznie wam dziękuję za szczere wysiłki, jakieście tu podjęli, aby mi wreszcie uświadomić, jaki jest stosunek między mną, a wami? Które to pytanie trapiło mię od czasu, kiedy was poznałem. Wiem, że to nie było waszym celem, jednakowoż serdecznie wam dziękuję.

— Wiwat Prometeusz! — krzyknął ktoś z gołętszych. A on, nalawszy sobie bezceremonjalnie wina do szklenicy, wypił i z trudem ciągnął dalej:

— Oto teraz jasnym mi się staje.. I cokolwiek byście uczynili z dobrej czy złej woli — już mię to nie będzie gorszyć, albowiem rozumiem... Jesteście na swoim miejscu. Tylko ja tu niepotrzebnie się znalazłem. Pozwólcie — zaraz wyluszczę... Bo nie sądźcie, że każdy, co ma postać

człowieczą, jest przeto waszym bliźnim. Tak i ja błędnie sądziłem. Dlatego jestem pośród was, szanowni...

— Niech żyje nam! Chór!...

— Pst! Cicho! — uciszano.

Prometeusz popił wina i dalej rzecz prowadził:

— Są rasy różne... naprzykład: ja i wy... Nie łączy nas prawie nic, a wszystko dzieli. Ja nie uznaję waszej ojczyzny — wy mojej...

— O!

— Proszę... jak państwo czujecie się w pustce?... Widzicie: nie rozumiemy się, choć używamy tych samych słów. Jakby wam tu jaśniej wyłożyć... Weźmy nie ludzi, lecz psy... O psach wszystko wolno. Są więc różne rasy psów — powiedzmy: — wyżły, owczarki, kundysy...

— Oryginalny sposób mówienia — szeptano.

— Neufundlandczyk, a kundys... Jaka olbrzymia różnica! Tylko one łatwo się poznają — czują wzajemnie swój stosunek do siebie — czują dystans! panowie... a nam ludziom trudno się rozeznać.

— Promuś! — syknęła zgorszona Irys, trącając go łokciem.

— Oto — naprzykład.., ktoś woła mnie: „Filius!“, podczas, gdy ja w istocie jestem „Hektor“. Słowo wam daję: jestem Hektor!

Napełnił winem kielich.

— Gdzieś jest, mój przyjacielu? (Poszukał wzrokiem malarza). Zdrowie nasze!

A zwracając się do zdziwionych gości:

— Przepraszam, że zdrowia waszego nie piję, albowiem sami się o nie aż nadto troszczycie. Przez całe życie od kolebki ono jest staraniem waszem. Jesteście niespożyci. Byliście i będziecie. Wasza rasa nieśmiertelna, podczas gdy moja na wymarciu. Mówię więc jako *moriturus*... ten, co ma zginąć — wasz niewolnik. Z bogów był mój ród...

— Wspaniale mówi!

— Imiona ich znane wam są: służyli u was w niewoli — słynęli jako śpiewacy — układali kancony i ody na wasze uroczystości — sławili wasze ogródki... i cóż jeszcze — ginęli za was. Tych zwiecie bohaterami. A wiecie — gdybyście mnie zostawili byli tam na pustce, kto wie, czy i ja nie byłbym... bohaterem. Jak to pięknie byłoby, i dla mnie i dla was. Jak to miło wspomnieć czasem... Zapewne każdy z was ma jakieś bohaterskie wspomnienie — z czasów młodości, rozumie się. I tem wspomnieniem, jak pacierzem, każdą opowieść zaczyna. Naprzykład: „Kiedy byłem Sokołem w Radomiu...” O — jak to pięknie brzmi i budzi szacunek u słuchaczy. Więc słuchajcie: Kiedy byłem do skały przykuty... (hej! hej! było to życie!)... wówczas czułem się gwiazdą, zawieszoną w przestrzeni. Nie dziwcie się:

mówię symbolicznie. Byłem ja i czas koło mnie — i gdzieś tam morze szumiące ludzkości... Nie wiedziałem, że ludzkość — to wy... Mniemałem, że wszędzie są same... Neufundlandczyki. Sroga pomyłka — nieprawdaż?... Jak ja was wówczas kochałem! We własnej piersi chowałem dla was ogień, wykradziony bogom... Nie wiedziałem, że wy macie już swoje kominki; i że, obaczywszy mnie, przychodzącego do was z ogniem, moglibyście mnie nazwać podpalaczem. U bogów złodziej — u was podpalacz... gdzieżbym się, nie szczęśny, schronił?

— O, bo wy nienawidzicie wszystkiego, co wam, sądzicie, niepotrzebne. „Strzeżcie się ognia!“ — uczycie dzieci swoje. I wy mówicie czasem symbolicznie. „Strzeżcie się ducha!“ — szepce wam wasz strach. Straszy was wszystko, co skrzydlate. Jakoż nienawidzicie mego... sępa. A zaciekawia was... zwłaszcza w owym momencie, gdy się mem sercem karmi. Pragniecie może, bym tu zademonstrował przed wami? Zawsze lubiliście teatru krwawego... *Circenses!* Niestety, zabiłem go: — nie dał się oswoić... Cóż tak głupio patrzycie? Mówię: zabiłem go!... I cóż was jeszcze straszy? Czy może Ducha widzicie przed sobą? Huzia, zabijcie go! Zdepczcie, oplwajcie, wyśmiejcie! Wszak zawsze tak czyniliście... Ziemia wasza. Bezsprzecznie wy panujecie. Króle z was i papieże... Ktoby was nie zechciał uznać — gdzie się schroni?... Przez pustki

idą tramwaje wasze — w puszczech łoskocą wasze tartaki — władza wasza sięga aż do jaskiń. Koniec jej, jak początek — w mroku. Sławi was wszystko: zarówno hurkot młynka do kawy, jak hurkot dział. Dla was też wszystko na ziemi: rośliny i zwierzęta, deszcze i pogody... Jedyne piękno nie dla was — ale o tę małą cząstkę nie stoicie. Czegóż wam brak? Mniemałem, że brak wam ognia. I ważyłem się na ten czyn... Lecz wy ognia nie pożądacie — pożądacie tylko ciepła. Zdrowie przede wszystkim! Jakże mądrzy jesteście i... przewidujący. Dziwne, że śmierci dotąd nie usunęliście. Ta także zdrowiu szkodzi. Patrzcie — ja za was już się niepokoję — zaczynam być już waszym... śpiewakiem. Granica między nami, to jedna myśl... Zatem: Niech ginie wszystko, co was straszy — mówię wam: zabijcie ducha! — a niech się rozrasta, niech pęcznieje, niech promienieje w wieczność wasze zdrowie!... (Wzniósł kielich i wypił do dna).

Gdy skończył, grzmot oklasków rozległ się po sali.

— Niech żyje! Niech żyje nam! — huknięto chórem.

Prometeusz stał zdumiony, wreszcie wściekły. Nie takiego był pewny sukcesu. Gdy przycichło w sali, ozwał się wprost:

— Czyż nie widzicie, że was... nienawidzę?

— Brawo! Brawo!

Jeszcze huczniejszy grzmot oklasków i nowe: „Niech żyje!”

Prometeuszowi teraz jakby wszystko wino wypite do głowy buchnęło, i uczuł w mózgu żar... Jak stał, trzasnął kielichem w widoczną łysinę prezesa...

Stał się skandal okropny. Wszyscy się porwali z miejsc. Panna Irys dostała spazmów — trzy ciotki zemdłały. Wśród hałasu i krzyków oburzenia jeden chór się podniósł, stylowy, z łamaniem rąk:

— Nie u-sza-no-wał ły-si-ny!...

*

Opowiadali później goście ze zgorzeniem, iż w pijanym szale wykrzykiwał słowa bez związku: „Sępie mój! Przeniewierstwo! Niechaj się mści!” i tym podobne warjactwa, aż padł na ziemię, i odniesiony został na kanapę.

Lecz skandal ów, jak wszystko zresztą, przebrzmiał wnet, ludzie zapomnieli; tem łatwiej, że Prometeusz, dzięki przymiotom swoim i stosunkom teścia, został wkrótce dyrektorem banku.

Żyje solidnie, ubiera się podług mody, mieszka przyzwoicie — wprawdzie nie wśród zakopiańskich, lecz zato wiedeńskich mebli — i myśli o swoim... sępie? ach, nie... zdrowiu. Czasem tylko, gdy wina za dużo wypije, przychodzi nań

wzruszenie. Wtedy bierze za rękę najszczęśliwszego przyjaciela, prowadzi go na bok i, odchylając przed nim gors koszuli, pokazuje mu bliznę na sercu, gdzie była rana. Blizna już małoznaczna. Utył. Wkrótce tłuszcz ją zaleje.

„NAPOLEON“

Bywa, iż człowiek nie czuje siebie samego, nie wie, kim jest i czy jest wogóle. Zauważa, że ktoś je, kładzie się do snu, spaceruje, spełnia jakieś czynności — ale czy to on sam, czy naprzykład stołowe nogi, tego nie może rozróżnić. Aż jakiś wypadek zdarzy (jeśli się wogóle zdarzy), że się człek nagle ocknie, poczuje siebie wyraźnie i nawet wartość swoją naocznie zobaczy, której podobną nie mógł, czy nie umiał dostrzec.

Taki szczęśliwy wypadek zdarzył się księdzu Łopatce, proboszczowi z Wiórek.

Pewnego razu przyjechał doń „na partyjkę“ pan poborca z miasteczka. Przyjeżdżał nieraz i odjeżdżał — rzecz zwyczajna, jak wschód i zachód słońca, po których nic się nie zmienia, co najwyżej wyschnie jakaś butelczyna i jakiś tam grzeszek niewielki przybędzie — ale ta właśnie wizyta miała specjalną dla księdza Łopatki wagę i doniosłość, jak ujrzymy, w skutkach.

Z tej racji zdałoby się nieco uwagi panu po-

borcy poświęcić. Choć o poczciwym wyglądzie, był to człek w gruncie ambitny i nawet o nieśmiertelność (co jest rzadkie u poborcy) usilnie zabiegający.

— Cóż to jest nieśmiertelność? Imię — nazwisko. Mówi się: Kościuszko — i już wiemy, kto on był, co robił. Przez to, że się tak nazywał. A niechby się nazywał naprzykład Kitajko, tobyśmy nie o nim nie wiedzieli.

To bystrym swoim umysłem rozeznawszy, pan poborca na to postanowił kłaść nacisk w stosunkach swych z ludźmi, by im na zawsze wryć w pamięć swoje nazwisko. Tu się dopiero okazywała jego inteligencja.

— Czapkiewicz... — przedstawiał się z naciśkiem i patrzył wnikliwie w oczy osoby poznanej. — Pana nie uderzyło moje nazwisko?

Przeczekał moment zdziwienia i, nie licząc zbyt na domyślność ludzką, jął pomagać z zapalem.

— Mütze? — panie, Mütze!... Jak po polsku Mütze?... Czapka! — podpowiadał z uciechą. — Więc jak po polsku Mickiewicz??... Czapkiewicz!! — wybuchnął przed osobą, zdumioną tem odkryciem. — Tak, panie. Czapkiewicz!... Teraz pan już nazwisko moje zapamięta. Jakby panu przypadkiem wymknęło się z pamięci, to niech pan tylko pomyśli: Mickiewicz... Mickiewicz po polsku... nic więcej.

I dumny był w sercu pan poborca, przekonany będąc, że póki będzie trwał w pamięci narodu Mickiewicz, będzie obok niego i Czapkiewicz. A nawet napomykał w rozmowie z inspektorem, czyby nie było wskazaniem spolszczyć nazwiska Wieszcza.

— Bo to panie szelmy Niemcy, plemię zachłanne, gotowi nam i Mickiewicza zaanektować, że to niby od Mütze... A jakże! Kopernika nam ukradli, choć nazwisko jego czysto polskie, pochodzi od koper.

Pan poborca stał się etymologiem od czasu, gdy zaczął rozbierać w rozumie swoje nazwisko.

Starał się też pan Czapkiewicz naśladować swego Imiennika. Włosów długich nie mógł zapuścić, bo był łysy, ale zato nosił długi płaszcz i wysokie kołnierzyki. Często, przechodząc, stawał na moście i pozował się, jak Tamten na pomniku. Ludzie, mijając go, szeptali z szacunkiem: „Czapkiewicz...” Miło mu brzmiały w uszach te szepty tłumy.

A że sam czuł się już osobą wielką, chcąc się utwierdzić w tem poczuciu (bowiem wątpienie go nachodziło: jak to może być, żeby pan rejent i pan radca byli zwyczajnymi ludźmi, gdy on, poborca tylko...) począł upatrywać w bliźnich swoich szczegółów podobieństwa do ludzi wielkich. I, przypatrując się dokładnie, ujrzał ze zdziwieniem, że każda z utytułowanych osób, po-

mijając pewne niedokładności, w jakimś szczególe do znanej z kart wielkości jest podobną.

— Pan radca ma nos jak Juljusz Cezar — mówił z szacunkiem do sędziego.

— Pan aptekarz ma oczko, jak Radecki!

I tym podobnie. Zauważył pobocznie, że zjednuje sobie temi spostrzeżeniami przyjaciół. (Pospólstwo tylko nie wyróżniało się niczem).

To też, grając z księdzem Łopatką trzecią już „partyjkę“ — gdy śledził oczyma ponad karty w twarzy jego głęboko skupionej, jakie może mieć atuty w ręku — aż podskoczył na krześle w zdziwieniu i:

— Wie ksiądz co? — zawołał — ksiądz całkiem do Napoleona podobny!

Ksiądz Łopatka przybladł ze wzruszenia, poczem się rumieńcem okrył.

— Skądże... gdzież — począł jąkać.

— Jak Boga kocham. Że ja też dotąd tego nie spostrzegłem...

Nie mógł jednakże spostrzec wcześniej, bo-wiem dopiero tydzień temu, jak widział Napoleona — w sztuce, którą pokazywali w miasteczku przejezdni aktorzy.

— O... ten sam podbródek, te same usta, nos... nawet ten kosmyk włosów, opadający na czoło. Prawdziwy Napoleon! Nawetby się ksiądz proboszcz nie potrzebował na scenę nic zmieniać. Jenó ta rewerenda...

— Mam szary płaszcz...

— Ach, to znakomicie! Ten właśnie był w szarym płaszczu. Tylko guziki błyszczące... To można łatwo dać przyszyć. Zresztą wszystko w porządku.

Ksiądz Łopatka uczył, jak wstępują weń nieznanne jakieś moce. Uświadomił sobie w tym momencie, kim mógłby być, a przeto kim jest. Poczł siebie nareszcie.

— Ksiądz jegomość wychodzi — orzekł poważnie, jak przeznaczenie samo, pan poborca.

Ksiądz Łopatka wiedział już, kim jest. Ściągnął brwi w skupieniu groźnem — prawdziwy wódz przed bitwą — i nie gorączkował się, ważył, czem naprzódy uderzyć... Nagle z nienacka spadła jego ciężka dłoń na stół, jak piorun.

Pan poborca uczył się zaskoczony. Nie przypuszczał takiego ataku. — Aż tu raz za razem poczęły padać na stół gromy — rzekłbyś: sam bóg wojny miota z chmur niechybne pociski. Pan poborca, aczkolwiek Czapkiewicz, czuł się tym impetem iście napoleońskim księdza doznaku oszołomiony. Próbował się jeszcze bronić, ale już nie zdzierzył. Przegrał z kretesem. Nie była to klęska, ale pogrom. Wagram — Jena — Austerlitz.

— Może jeszcze jedną partyjkę? — pytał dyplomatycznie ksiądz Łopatka, bowiem wiedział z historji, że i dyplomata był Napoleon.

Lecz pan poborca nie czuł się już „w sztosie“, jak mówił, lubił się bowiem poetycznie, jako „Mickiewicz po polsku“, wyrażać. Pożegnał się też wkrótce i odjechał.

Po jego odjeździe ksiądz Łopatka począł chodzić ostrym, bohaterskim krokiem wzdłuż salonu. Pierwszy to raz w swem życiu pewnie stąpił. Z pochyloną głową, ze ściągniętymi brwiami, z wargami zaciętymi, zdawał się głęboko myśleć.

Po niejakiś czasie zatrzymał się przed lustrem. Długo i badawczo przyglądał się swojemu obliczu, wprost i z profilu, przybierając przytem różne miny: groźne, kamienne, majestatyczne... A czynił to z całym krytycyzmem, nie był bowiem człowiekiem próżnym ani lekkomyślnym.

— Rzeczywiście... rzeczywiście — powtórzył parę razy.

Czuł jednak na dnie wzrosłego dumą serca coś jakby wątpienie jakieś.

Podszedł ku ścianie, gdzie wisiały, oprawne w wyrzynane ramki, fotografie zbiorowe: dawniejsza — po maturze, i późniejsza — po ukończeniu seminarjum duchownego.

Na pierwszej widział podobiznę swoją, tak niepodobną do swej obecnej postaci: wyrostka przygnębionego, o wystraszonem wejrzeniu, o włosach szpecinowatych, w źle ułożonem ubraniu...

— Kiepska fotografia — zdecydował.

O wiele lepiej wypadł ogląd podobizny dru-

giej. — Gładko na bok przyczesane włosy jakoteż czarne opięcie sutanny ze smuzką w okół szyi białego kołnierza przydawały już postaci nieco dystynkcji. — Jednak nie było w niej jeszcze tego, co chciał znaleźć. Twarz ułożona do pokory, w oczach przygaszone światła...

— Za mało dumy — pomyślał z niechęcią.

Dopiero trzecia, znaleziona w albumie podobizna, odpowiedziała jego intencji. Była to amatorska fotografia z majówki, z czasu, gdy już był we Wiórkach proboszczem. Na „romantycznym“ tle lasu, na spadzistym terenie gruntu rozłożona, widniała cała grupa, przedstawiciele różnych stanów w idyllicznej, można rzec: pasterskiej równości — pan aptekarz ze żoną, pan sędzia, pan poborca znany nam, nigdy niezapomniany Czapkiewicz, pan inspektor z powiatu, kilku nauczycieli i nauczycielek, jakiś wolontaryjny akademik i jeszcze parę przypadkowych osób — wszyscy w pozach siedzących i napół leżących, a *on* stał ponad nimi nad koszem próżnych butelek, stopą o jakiś pień wsparty, z założonemi rękoma na piersiach, z „wielką myślą“ w brwiach ściągniętych — istnie jako wódz nad pobojobiskiem.

Ksiądz Łopatka długo i z lubością wpatrywał się w tę podobiznę swoją. Przypomnił sobie, że widział nawet gdzieś w jakiejś książce sztych, przedstawiający Napoleona w tej samej nieomal

pozie. Oczywistością zduszona wątpliwość, zgasła do iskry, jak niedopalek cygara.

— Ten Czapkiewicz... zdawaćby się mogło, myszki ma w głowie (jak z tym Mickiewiczem), a to zgoła bystry człowiek — pomyślał z uznaniem i począł dalej krążyć wzdłuż salonu.

Dzień ów, jak snadnie domyślić się można, stał się w życiu księdza Łopatki przełomowym. W tym dniu się, można rzec, odrodził. Weszły weń, jakby za czarodziejską sprawą, siły nowe, które wywoływały w jego duchu poczucie ważności siebie. Stąd — bo to już tak naturalnie szło — zrodziło się w nim przeświadczenie o wyjątkowem swoim przeznaczeniu.

Że jednak ksiądz Łopatka, jak się już wspomniało, nie był człowiekiem próżnym, a umysł miał krytyczny, przeto mimo tego przeświadczenia nachodziły go czasem myśli, któreby nazwać można niepokojem ducha. Zwłaszcza myśl jedna podstępna: „Czy to tylko nie zewnętrzne podobieństwo?“ która go uderzyła raz, gdy się po nocy obudził, nie dawała mu spokoju i zatruwała górne chwile napoleońskich nastrojów.

Postanowił z tym wrogiem raz na zawsze skończyć. — Począł z anonsów gazet, jak i z katalogów księgarń, wypisywać monografje i dzieła, traktujące o Napoleonie, i sprowadzać je sobie. Z zapartą piersią wziął się do czytania tychże. — Po jakimś czasie odetchnął szeroko. — Już nie-

pewność zdradziecka nie może mieć doń przystępu.

Rozczytując się w biografji wielkiego cesarza napotykał w jego życiu tyle podobieństw ze swym — że tu nie mogło być dwóch zdań. Zwłaszcza uderzył go aż do wstrząsu jeden identyczny moment...

Gdy Bonaparte był chłopcem i chodził do szkoły wojskowej w Ajaccio, często, idąc do szkoły, lub wracając ze szkoły do domu, brał u pewnej przekupki jabłka, które lubił. Nie zawsze miał grosz na zapłacenie — lecz przekupka ufała mu i borygowała chętnie, ile zechciał. Opuściwszy szkołę, pozostał jej dłużny sporą sumkę. A nie mając, by oddać, przyrzekł jej żartobliwie, że zwróci dług, gdy zostanie cesarzem. — Wkrótce los wyrwał go na długo z rodzinnego miasta, i Bonaparte, zajęty ważnemi czynami, zapomniał całkiem o swym długu. Wypadki szły, coraz ogromniejsze. Napoleon został podtenczas konsulem, później cesarzem Francuzów.

Już jako cesarz przybył do Ajaccio. Gdy na czele swej świty generałów przejeżdżał ulicami rodzinnego miasta, przechodząc w myśli wspomnienia lat tu w dzieciństwie przeżytych, przypomniał sobie z czasów szkoły i ową przekupkę. Skierował tedy konia w uliczkę pamiętną i zatrzymał się przed straganem, który tak dobrze znał. Po-

znał też siedzącą za nim dobrodziejkę swoją, choć już mocno była podstarzała.

— Czy mnie poznajecie, matko? — spytał cesarz.

Starowina przyłożyła dłoń do czoła i, olśniona, patrzyła na cesarza, na jego złocistą świtę.

— Co Bonaparte przyrzekł, to Napoleon dotrzyma.

Schylił się z konia i podał jej sakiewkę, pełną dukatów.

— Oddaję swój dług — wyjaśnił. — Kupcie sobie, matko, domek, aby na starość nie marznąć.

To powiedziawszy, ruszył dalej na czele swej świty.

Otoc i ksiądz Łopatka tak samo, gdy chodził do szkoły w mieście, kupował często jabłka u przekupki, która mieściła się ze swoim straganiem obok żelaznej kraty, zamykającej dziedzińiec gimnazjalny. Tak samo nieraz nie miał czem zapłacić, i ona borgowała mu chętnie — jak i drugim.

— Dobrze to było kobiecisko! — rozczulił się wspomnieniem. Iluż to chłopcom, głodującym po stancjach, zastąpiła śniadanie lub obiad wzięta od niej na bóg bułka i parę jabłek czy śliwek. Iluż chłopcom ułatwiła w ten sposób przetrwanie najcięższych miesięcy głodu. Iluż tą pomocą uchroniła od opuszczenia ław gimnazjalnych i do-

pomogła im przez to „wyjść na ludzi“. Była ona ważną instytucją przy tej bramie.

— Oto patrzcie — mówiła im raz (pamięta) skupionym przy jej straganie, wskazując na przeciwny trotuar uliczny. — Tam idzie radca Flig. Chudziątko to było takie mizerne, że litość brała, często u mnie, niewyczytając, borgował, i dziś jest panem radcą — mówiła z pewną jakby macierzyńską dumą. Poczem ze smutkiem dodała: — Nigdy na ten tu trotuar nie wejdzie, zawdy obchodzi tamtą stroną, wstydzi się widać tych czasów.

Zatrzymał się dłużej ksiądz Łopatka wspomnieniem przy onej bramie, bowiem, mając już umysł znużony latami, nie zawdy prosto zdążać mógł za myślą główną.

Tak więc... gdy opuszczał gimnazjum, tak samo pozostał dłużen przekupce owej sporą kwotę. I tak samo jej przyrzekł żartobliwie, że zwróci dług swój, gdy zostanie proboszczem. Potem wstąpił do seminarjum i zapomniał o długu. Lata szły — został niedługo wikarym, później we Wiórkach proboszczem. I oto teraz...

Wstał poruszony od stołu i, trąc dłonie nerwowo, począł chodzić szerokim krokiem wzdłuż salonu. — Musi postąpić tak, jak Napoleon — z równym efektem... Zatem — jał rozsnuwać w myślach — każe powóz polakierować na nowo, każe zaprząć do powozu cztery konie (tylko

siwka coś kuleje — to niechże będą dwa), furmanowi sprawi krakowski strój z pawiem piórem (wystarczy pióro ostatecznie) i pojedzie do miasta... Gdy powóz będzie mijał bramę gimnazjum, krzyknie gromko na furmana: „Hou. stój!“... i z wysokości siedzenia spyta zdumionej przekupki:

— Poznajecie mnie, matko?

A gdy ta nie będzie wiedzieć, co ma na to odrzec, powie jej (z odpowiedniem do ważności chwili namaszczeniem):

— Przyrzekłem zwrócić swój dług, gdy zostanę proboszczem. Oto jest...

I gestem majestatycznym rzuci jej na stół wypchaną sakiewkę.

— Hm... sakiewkę — zamyślił się. — Łatwo było cesarzowi...

Cóż w tej sakiewce być może... jakie piętnaście reńskich... To jej nie zaimponuje. Trzeba inny plan wymyślić.

Krążył jakiś czas po salonie, głęboko się zastanawiając. Nareszcie doszedł... już wie! Każe narznąć indyków, gęsi, kaczek — jest tego spory szalas — naładować na wóz, zawieźć jej i zeprać pod nogi ze słowami: „To ksiądz proboszcz z Wiórek oddaje za dług“. I więcej ani słówka. Tajemniczość...

Długo znów krążył po salonie, rozkoszując się tą myślą. W pewnym momencie przystanął.

— Ba, ale co na to powie Józefina?... (Tak od czasu, gdy został w swej myśli Napoleonem, nazywał Kaśkę-kucharkę). Tu tej rządu... Nie, trzeba inny plan wydumać — zdecydował po namyśle; i wobec ważności sprawy odłożył to na czas spokojniejszy.

Im dalej się wczytywał książdz Łopatka w księgi o Napoleonie, tembardziej się utrwał w przekonaniu o swoim z nim podobieństwie i — co za tem szło — współgenjalności. Wspólnie czynił z nim dyplomatyczne zabiegi, przemyślał i układał plany, prowadził kampanje i wygrywał bitwy. A w tem wszystkim, co z uznaniem dla jego indywidualności podnieść trzeba, zachował swoje własne, częstokroć odrębne zdanie. W wielu razach nie zgadzał się z Napoleo-
nem I co do posunięć taktycznych — on, Napoleon II, inaczejby to wykonał — często też w decydujących momentach poprawiać musiał krok nieopatrzny Tamtego. Naprzykład w momencie owym bitwy pod Arcole, gdy się zwycięstwo przechylało na stronę Austriaków, a Bonaparte, porwawszy sztandar cofającego się pułku, rzucił się na most z impetem i odwrócił szalę losu...

— To nie przystoi wodzowi — mówił podczas obiadu do wikarego pod wrażeniem świeżo przeczytanej rzeczy. — To mógł wykonać pierwszy skraja oficer. Wódz powinien stać na wzgórku i patrzeć na pole bitwy. Powinien mieć spokój

kamienny w obliczu i wydawać rozkazy krótkie, a stanowcze.

— Zapewne — bąkał niezdecydowanie wikarjusz.

Tak samo nie był zadowolony ksiądz Łopatka z przebiegu bitwy pod Wiedniem.

— Za dużo strat — oświadczył. — Któż widział na oczach nieprzyjaciela przeprować się przez Dunaj. Mogli ich snadnie jak kaczki wystrzelać. Trzeba było obejść z wojskiem daleko na prawo, tam się przeprować i zająć nieprzyjaciela od tyłu. Aniby noga nie uszła.

A kiedy czytał wyprawę na Moskwę, mało się z irytacji nie rozciskał.

— Wódz powinien przewidzieć, nie leżć w matnię.

Również ostro krytykował taktykę Napoleona w przeprowie pod Lipskiem.

— Przegrał przez swoją nieopatrzność, oto co jest — zadecydował przy końcu.

Tu trzeba zaznaczyć dla ścisłości, że Napoleon, mimo udowodnionych mu błędów, nic w oczach księdza Łopatki nie stracił. Obniżając go, temsamem obniżyłby siebie. To nie było w jego zamiarze. Gdy krytykował jego błędy, chciał tylko przez to wykazać, jak *on* w danych wypadkach by postąpił.

Z dzieł wyczytanych wyniósł wielką korzyść. Zobaczył Napoleona mniej, niż się sądzić zwykło,

niedościgłym, zobaczył go podległym ludzkim zawodom i klęskom — i owo „podobieństwo“, ów „napoleonizm“, co go tak, jako coś nadzwyczajnego, zrazu zaskoczyło, stało się teraz rzeczą daleko jaśniejszą i na krytycznych podstawach opartą. Teraz już wiedział sam ze siebie, nie od jakiegoś tam Czapkiewicza (choć to zgoła bystry człowiek, jak się okazało), co ma o tem sądzić. — Chodziłoby teraz o to, jak ludziom okazać swoją zatajoną dotąd wielkość, swoją — jakby rzecz — napoleońskość.

Problem czynu...

Długo się zmagał z nim w swych myślach ksiądz Łopatka, wreszcie rozwiązał go najniespodzianie prosto i szczęśliwie.

— To, że Napoleon prowadził wojny i bitwy wygrywał, — to tylko okoliczność. Okoliczności szczęśliwe i nic więcej. Posadzić by go we Wiórkach, a widzielibyśmy, coby zdziałał. Najważniejsza rzecz — w czem jego prawdziwa wielkość była — to postawa. Gest i postawa. O!

Odtąd ksiądz Łopatka baczył pilnie na to, by mieć wzięcie się „napoleońskie“. Sprawił sobie lakierowane buty z cholewami, sutannę kazał sobie żydowi - krawcowi przyciąć, a do szarego płaszcza przyszyć guziki błyszczące. Wychodząc z domu na spacer, brał zwykle trzcinę do ręki, którą się niedbale z miną wódza uderzać lubił po cholewie. Gdy mówił egzortę w kościele lub

przyjmował interesentów w kancelarji plebańskiej, stawał w pozie wyniosłej, wysuwał nogę naprzód, zakładał ręce na piersiach i „miażdżył orlim wzrokiem“ spokojnych obywateli. Sposób mówienia przyjął gromki, stanowczy i lakoniczny.

W taki to naturalny sposób stał się ksiądz Łopatka Napoleonem. Nawet bardziej napoleońskim — w geście, postawie — niż tamten. A o cóż więcej mogło chodzić?

Niebawem zwrócił swój „orli wzrok“ na swe otoczenie. Nie może to być — sądził słusznie — żeby jego, Napoleona-Łopatkę, otaczały figury popolite, zwykłe. Jeżeli On historyczną jest osobą, to tem samem i wszyscy, którzy są w jakimś stosunku do Niego, stają się historycznymi.

Wiemy już, że kucharkę Kaśkę nazywał wdzięcznie Józefiną. Więc na furmana Maćka wołał odtąd: „Te, Ney!“, organistę ochrzcił Talmą, jako że miał miłe podrygi przy ukłonie, a zaś kościelnego, starego dyplomate, Taylerandem. Malarz Rączka, który pod ten czas malował był właśnie zakrystję, został nadwornym Davidem.

I słusznem było wprowadzenie do historii tych osób. Wprawdzie Maciek-Ney był głupi, a Józefina, jak wszystkie zresztą Józefiny, była swarliwa, zazdrosna i nielogiczna w sądach, lecz organista-Talma, malarz-David, zwłaszcza kościel-

ny-Taylerand, byli to zgola niepospolici mężowie, warci monografij osobnych.

W otoczeniu tych już odtąd historycznych osób ksiądz Łopatka-Napoleon wzniósł się jeszcze, ile to możliwem było, w swem samo-napoleońskiem poczuciu. Już nie był we Wiórkach proboszczem, lecz władcą. — Wszystkie też rzeczy naokół urosły, przybierając barwę historyczną. Gminy, do parafji przynależne, stały się departamentami, kościół parafjalny katedrą, a plebanja Wersalem.

Pewnego dnia wezwał do siebie Davida. Kazał mu robić swój portret. Ten się wymawiać począł, że „dotąd z natury jeszcze nie próbował!“ — nic nie pomogło.

— Zrobisz mnie tak, jak stoję — przybrał odpowiednią pozę. — Widziałeś Napoleona?

— Nie.

— To się przypatrz — wskazał majestatycznie na otwartą księgę.

Malarz przyjrzał się kolorowej odbitee — poczem przeniósł wzrok na księdza. Bystry to był człek. Już zrozumiał.

— Trochę w szczegółach inny, ale o to mniejsza. Będzie portret, jak odlał. Powiększy się tylko odpowiednio...

— O — właśnie — powiększyć trzeba odpowiednio...

Omówiono kwestje: płótna, farb, rozmiaru, i oznaczono termin posiedzenia.

— Choć jabym wolał to u siebie w domu... bez utrudzania księdza proboszcza — wyraził życzenie David. — Czy możnaby tę odbitkę wyciąć?

— Owszem, można, jeśli rzecz tego wymaga. Ale robota u mnie w gabinecie — i w obecności mojej. To warunek.

Nie opuszczał się ksiądz Łopatka na pojętność malarza, choćby to był i David. I, jak się okazało, miał uzasadnione racje ku temu. Któż wie, jakby był portret wypadł, gdyby nie jego osobisty dogład i kontrola. To nos się okazał za mały, to czoło za niskie, to znów podbródek za wielki, i wiele jeszcze innych nie mniej poważnych uchybień. Wszystko to musiał malarz za jego wskazówkami zmieniać, ujmować lub dociągać, jak z orzeczenia wypadło. — Tak Napoleon poprawiał Davida.

W czasie całego ciągu malowania, a trwało ono dość nie krótko, gorączkował się ksiądz Łopatka — nieraz obiadu nie skończywszy, wołał przez się w stronę kuchni, gdzie było państwo Józefiny:

— Niech się stawi mój nadworny malarz! Będziemy kontynuować portret.

Ostatecznie pod jego genjalnym wzrokiem i przy pomocy pomiarki tak bądź co bądź wytrawny artysta, jakim był David, wkroczył wreszcie na tory właściwe, to znaczy zbliżył się do ideału odbitki.

Za jakiś czas „odpowiednio powiększony Na-

poleon“ w grubych pozłacanych ramach zawisł naprzeciw lustra w salonie. Uszczęśliwiony ksiądz Łopatka, zawołał Józefinę i jął pytać, co sądzi o portrecie.

— Już mam tego portretu dość! — wybuchła potokiem słów. — Od trzech miesięcy nic i nic, ino o tym portrecie. Żeby to choć co godnego...

— Głupiaś.

Posłał po Tayleranda.

— Kto to jest? — wskazał malowidło.

Taylerand nie zaraz odrzekł, zastanawiał się, kombinował.

— Jakiś generał ma być — osądził w końcu.

— Osioł jesteś, mój Taylerandzie. Zawołaj mi tu Talnę.

Talma, który z Davidem był w przyjaźni, wiedział już coś o tem. I na pytanie: „Kto to jest?“ odrzekł bez namysłu.

— To jest ksiądz jegomość Napoleon.

— O, widzisz Taylerandzie, jakóbinie stary, Talma odgadł odrazu. A podobieństwo?

— Jak odlał.

— Wcale rozumny jesteś, Talmo; muszę ci pensję podnieść.

Odtąd ksiądz Łopatka mógł się rozkoszować w sercu, godzinami wpatrując się w „swoj portret“.

— Dałoby się jeszcze — zauważał — nie mało

zarzucić, ale o szczegóły podobieństwa mniejsza. Główna rzecz: gest, postawa. Oto co jest.

Dotąd miał tylko poczucie swej napoleońskiej, a teraz widzi siebie.

— Portret nie śmie mylić — zapewniał się.

Spływały też nań, możnaby rzec, z tego portretu nowe siły, ambicje nieograniczone i oczywistość potęgi. Majestatem napęczniony, kroczył dumnie po swych „apartamentach wersalskich“, a uderzał w jego postaci zdaleka główny atrybut wielkości: gest i postawa. Od czasu do czasu wyrzucał z zaciśniętych ust rozkazy krótkie i stanowcze. Naprzykład: — Niech się stawi przedemną prefekt departamentu Koninki (to niby wójt z Koninek) dla zdania mi rachunków konkurencji kościelnej.

— Malarzowi Davidowi wydać z kasy pięć złotych forszusu.

Albo:

— Zawołać mi Tayleranda; chcę z nim omówić kwestję odpustu.

A widzieć go naprzykład wtedy, gdy stanąwszy na ganku wołał ku stajniom:

— Te, Ney! Daleś koniom owsa?! — lub jak grom krótko: — Zaprzęgać!

Albo przez sienie w stronę apartamentów niewieścich:

— Józefino! Nakryj do obiadu!

Tak mógł tylko rozkazywać Napoleon.

Kazania jego były zwięzłe i apodyktyczne, jak odezwy do narodu. Od czasu do czasu wygłaszał też z ambony nadsyłane mu wojenne manifesty Centrum.

I nicby nie zamącało pewności jego umysłu i wysokiego nastroju, gdyby nie koalicja — jak nazywał dekanat, konsystorz i inne duchowne potęgi. Mimo że gromił w odezwach swoich jakóbinizm, koalicja nie dawała się tem zwieść, lecz następowała nań coraz to zawzięciej. Nasyłała komisje, żądając rozvodu z Józefiną, wyrzeczenia się władczej chimery, trzymania się przepisów kanonnych itp. Bronił się zacięcie, używał wszelkich dyplomatycznych wybiegów, w dyskursach z księdzem wikarym pokonywał swoich przeciwników — jednak koalicja rosła w siłę i spać mu nie dawała.

Aż przyszło jego Waterloo...

Nie koalicja je sprawiła, choć pośrednio przyczyniła się do tego przez zmącenie bystrości jego umysłu, lecz przypadek. Taki sam przypadek, jaki przywiódł do upadku Napoleona.

Wiadomo: Napoleon upadł z przyczyny kapliczki. Było to tak:

Już wiele godzin trwała bitwa koło wsi Belle-Alliance, a żadna ze stron walczących nie mogła uzyskać decydującej przewagi. Napoleon, naciśkany przemożnymi siłami sprzymierzonych, wytężał cały swój genjusz, aby rozerwać pierścień

wojsk nieprzyjacielskich. Losy się długo ważyły. Wreszcie udało się wysiłkom Napoleona przełamać szeregi pruskie. Zwycięstwo zdawało się chylić ku Francuzom. Napoleon, stojąc na wzniesieniu w otoczeniu adjutantów (jak przystało na wodza, podług słów księdza Łopatki), śledził orlą uwagą przebieg walki. Jeszcze jedno posunięcie, jeden wysilek — i zwycięstwo. Aliści podniosła się mgła dymu z równiny i odkryła lśniący łań piechoty angielskiej, ustawionej w czworobok. — Pułki te nadeszły pod mgłą w czasie bitwy i nie brały dotąd udziału w walce. Napoleon jednym rzutem oka ocenił ważność chwili.

— Ten czworobok mi złamać! — cisnął rozkaz dowódcy kirasjerów, których oszczędzał dotąd, by ich rzucić na szalę w decydującym momencie.

Runęły pułki niezłomne... Zrazu jak lawina śnieżna — rosły w wicher, w miarę, jak się po pochyłości terenu zbliżały ku równinie.

Napoleon przyłożył szkło do oczu i z zapartym oddechem śledził ich pęd. Nagle zwrócił się do marszałka Ney'a, który zdejmował przed rozpoczęciem bitwy plan terenu.

— Co tam ta kapliczka znaczy? — rzekł, wskazując biały punkt na pochyłości, ku któremu właśnie zbliżała się w najwyższym rozpędzie chmura kirasjerów. — Ta kapliczka stoi tam nie bez przyczyny...

Wyjaśniła się rzecz sama wcześniej, niż Ney mógł znaleźć odpowiedź.

Oto, gdy chmura jazdy zrównała się z białym punktem, zniknął pierwszy szereg, drugi, trzeci... i zniknęły dalsze, jakby ich ziemia pochłaniała.

Napoleon zbladł — zrozumiał.

Tam był wąwóz głęboki, niewidoczny ze wzniesienia, przecinający pochyłość. Nim się końmi i ludźmi wypełnił, chmura stopniała o trzecią część. Reszta przejechała po tym moście krwawym, pognęła dalej ku równinie. Lecz już, osłabiona w pędzie i w swej masie, nie zdołała złamać czworoboku. Przyszło następczo Waterloo...

Kapliczka więc była przyczyną, która sprawiła upadek Napoleona. Gdyby był tę kapliczkę wcześniej zauważył i zbadał, z jakiego powodu tam stoi, nie byłby posyłał swych decydujących pułków na stracenie. Lecz już zapóźno ją spostrzegł—zapóźno było wstrzymać wicher jazdy.

Prosty przypadek.

Co spotkało Napoleona, mogło spotkać i księdza Łopatkę. Tak się też istotnie stało.

Było to podczas żniw. Zwożono z pola jęczmień do stodoły. Zrazu robota szła powoli — jak na plebańskim. Lecz na odwieczny przyspieszono pracę i nawet gorączkowo zaczęto się uwijać, gdyż burza nadciągała.

Sam ksiądz Łopatka, zbudzony odgłosem grzmotu z drzemki poobiedniej, objął dowództwo

nad zwózką. Rozkazy jego gromkie i stanowcze ujęły popłoch w pewien ład i nadały robocie tempo bojowych poruszeń. Widać go było, jak stał przy zrzucaniu snopów z wozu na progu boiska i do taktu podawania na stóg wycinał krótko: „raz, dwa — raz, dwa“, a potem, gdy zawracano w pole, wskakiwał na wóz i, stojąc niby na rydwaniu (widział podobną nawet na sztychu apoteozę Napoleona), przynaglał Maćka-Neya do pośpiechu.

Zwieziono już kóp sporo. Wzięto właśnie przedostatnią kopę, gdy burza się zbliżyła. Jeszcze pozostała jedna. — Ksiądz Łopatka w gorącej bojowej sam własnoręcznie pomagał zrzucać snopy na boisko.

— Śpieszcie się! — wołał! — Jeszcze ta ostatnia kopa i zwycięstwo!

Gdy zawrócono, wskoczył na wóz, jak uprzednio i popędził furmana co duchu. Burza tuż-tuż wisiała, jeno spaść ulewą...

— Jedź na przelaj — krzyknął ku woźnicy.

Maciek też skreślił z drogi i wziął się na przelaj przez pole. Pole w tej polaci spadziste było — konie ruszyły wartko. Wóz podskakiwał po zbrudzeniach gruntu. Nie dbał na to ksiądz Łopatka — stał bohatersko na wozie, przytrzymując się dłonią letry, i śledził oczyma pilnie postęp chmury. To samo zapewne czynić musiał woźnica — gdyż

nagle ksiądz Łopatka, pojrzawszy przed się, krzyknął:

— Ney! Nie widzisz ośle... kapliczka!

Lecz już zapóźno było wstrzymać konie nad krawędzią wąwozu. Runęły przednimi nogami w urwisko, pociągając wóz za sobą.

Szczeńciem jar nie był głęboki. Skończyło się na tem, że się woźnica trochę potłukł, konie wyszły z okaleczeniami. Ale ksiądz Łopatka, skoczywszy w krytycznym momencie z wozu, złamał nogę.

Odniesiono jęczącego w czasie ulewy i grzmotów na plebanję. Poczem za poradą wezwanego z miasteczka lekarza przewieziony został do szpitala.

Tu dopiero, po założeniu mu opatrunku i uśmierzeniu bólu, mógł objąć myślą spłoszoną obraz i znaczenie nieszczęśliwego wypadku.

— Jazda po pochyłości... Zagapienie się Neya... Wąwóz przecinający... Kapliczka...

Niby piorun, przeleciał nagły wstrząs przez jego umysł..

— Ten wąwóz... ta kapliczka!... Rzecz oczywista: Waterloo...

Jeżeli odtąd oddzielał jeszcze w myślach lub w uczuciu postać tamtego od siebie, to teraz poczuł się zajędnym z nieszczęsnym Napoleonem. Nieszczęście bowiem jednocy.

— Gdybym był tę kapliczkę wcześniej zauwa-

żył... nie opuszczał się na Neya... Lecz widać tak chciał los.

— Przypadek, mówicie panowie? — zwracał się w majestacie swej klęski do lekarzy. — Tak, zapewne... Lecz czy panowie zdajecie sobie sprawę jasno z wagi owego przypadku? Z jego następstw i skutków na przyszłość?... Oto, gdyby nie ta kapliczka, mapa Europy inaczejby wyglądała. — Czemże jest inny przypadek od losu? Musiało przyjąć nasze Waterloo — i przyszło.

— Jesteśmy oto na Elbie — mieszał następstwa aktów. — Koalicja triumfuje. Lew upadł. Komisje obradują, wzywają świadków, śledztwa... Taylerand, szelma, zdradzi. Biedna opuszczona Józefina... Ale triumf przedwczesny! — wołał z patosem. — Lew się jeszcze podźwignie. Zobaczą wkrótce jego groźną grzywę, jego nieulekniomą królewską postawę. Zadrżą zdrajcy sprzedajni!

Lekarze potakiwali i, kiwając głowami znacząco, zapisywali sobie jego ważne słowa.

— Dziwna rzecz — zauważył któryś. — Prosty upadek i takie oto następstwa...

— Następstwa nieobliczalne! — przydał, zasłyszawszy uwagę ksiądz Łopatka. — A wszystko to z przyczyny kapliczki.

— O, gdyby nie ta kapliczka! — wzdychał często — mapa Europy inaczejby wyglądała.

Wkrótce, dzięki zabiegom lekarskim, noga się

wygoiła, i ksiądz Łopatka, aczkolwiek uchromujący jeszcze na tę nogę, mógł już opuścić szpital — czyli raczej „wyspę Elbę“, jak się wyrażał. — Równocześnie odeszła też odpowiednia opinia lekarzy do konsystorza.

Wróciwszy z „Elby“ do Wiórek, ksiądz „Napoleon“-Łopatka zastał ruinację w swym „Wersalu“: biurka poodmykane, księgi porozrzucane, ważne zapiski historyczne zniknione — widocznie koalicja przez szpiegów swych tu pracowała. A nie zastał już biednej Józefiny, która zabrawszy na pamiątkę wiele rzeczy drogich, nie czekając wyroku komisji koalicyjnej, progi wersalskie opuściła.

Ksiądz „Napoleon“-Łopatka zrozumiał rzecz i wpadł we wściekłość. Tayleranda napędził z urzędu, Talmę usunął z kościoła, a za zdrajcą Davidem, który, jak się okazało, wyjechał razem z Józefiną, wysłał gończe listy. To zarządziwszy i połamawszy kilka krzeseł w dodatku, opadł ciężko na fotel.

— Oto są skutki przegranej — rzekł do portretu. — Lecz my się jeszcze podźwigniemy! Nie poddamy się słabości. Poczują jeszcze wrogowie moc naszą!

W najbliższą niedzielę wygłosił piorunującą mowę do narodu. — Wskazał na niebezpieczeństwo inwazji wroga i na słabość wewnątrz pań-

stwa. Oto zdrada jest dokoła! dowodził. Zdrajcami jest otoczony zewsząd. Napędzeni Talma i Taylerand schronili się pod opiekuńcze skrzydła sprzymierzonych — prefekci departamentów jawnie znoszą się z koalicją — a nawet współwładca wikary spiskuje potajemnie.

— Obywatele! — wołał. — Musicie odeprzeć te zakusy wrogów, wytępić zdradę jawną i tajemną, dać prawdzie oręż do ręki. Stańcie odważnie, jak jesteście wszyscy — a z taką armją waleczną przejdę śmiało te Alpy fałszu — i zwyciężę!

Nastąpiła potem przez kilka dni cisza. Koalicja coś ważnego knuła. Wnioskował to z różnych oznak, jak z wyjazdu księdza wikarego, z wezwań prefektów do władzy, z powoływań różnych świadków jego przemowy w kościele itp.

Aż nagle dnia jednego po południu, jak grom z jasnego nieba, spadło nań: zasuspendowanie. Tak z urzędu proboszcza, jak i z obowiązków księdza.

— Oto jest teraz właściwe Waterloo — zobaczył jasno. Nie widząc innej rady, zdał się na łaskę-niełaskę księdza dziekana, najbardziej zawziętego z członków koalicji... i ten go zdradził. Udał współczucie, litość — i podstępnie zawiózł go na „wyspę Świętej Heleny“.

Tu na tej posępnej „wyspie“, wśród otoczenia murów, strzeżony pilnie przez lekarzy i całą „kompanję szpiegów“, przeżywał ksiądz Łopatka-

„Napoleon“ sen swej minionej potęgi. Znosił dumnie swój los aż do końca. Jedno tylko westchnienie wyrywało się czasem z jego piersi:

— Gdyby nie ta kapliczka...

JAŚ Z NAD BRZEGU

Pisał się górnice „Jan Wierchowy“, mówiono o nim „Jaś Z nad brzegu“, a wołano na niego zwyczajnie „Jaś“, choć mu już szło ku trzydziestce, bo był wszystkim oczom miły.

Już też nie było nadeń we wsi parobka honorniejszego. — Kiedy w niedzielę słoneczną, odziany w białe cyfrowane portki, w biały, nowiutki serdaczek, w chazukę czarną, pięknie stamentem z brzegów wyszywaną, w kerpcach misternie szytych, bryzowanych, w koszuli jak śnieg białej, w kapeluszu z białymi kostkami, honornie na bok pochylonym, szedł kamieńcem na sumę do kościoła, widno się aże czyniło od niego.

Dodawiała jeszcze uroku postaci twarz biała, światła, gładko ogolona, mile do ludzi wszystkich uśmiechnięta.

Serce miał dobre, uczynne; był walny, jak mówiono. Do każdego, bogaty czy biedny, przyjaźnie się odnosił, każdemu umiał coś miłego powiedzieć.

Pytano go chętnie czasu wesel na družbę, bo umiał jak nikt prosić, nikt się jego słowom i przyśmiejchom nie zdołał oprzeć.

Miał brata żonatego, który dzierżył pół gruntu. Druga połówka przypadła jemu. Ale więcej krawiectwem niż gazdostwem się trudnił; robił chazuki, portki, a cyfrował je tak pięknie, że daleko na okolicę miał z tego słynę.

Nie żenił się, choć wszystkie oczy dziewcząt — siwe, czarne — śmiały się do niego. Chodził od lat ślebodnie wszystkimi chodnikami, jakie mu zachcenie lub fantazja wskazały — parobkował.

Znał całą wieś i wszyscy go znali.

Przy każdym święcie, jarmarku, pełno Jasia było wszędy, na rynku, w karczmie.

Wciągał do szynku, kto mu pod rękę podpadł, częstował wokół, poił.

— Moi mili, kochani...

Wielu ludzi było w karczmie, szanował wszystkich. — Kiedy ścisk się w izbach robił, jak w kościele, że do szynkwasu trudno się było prze-pchać, wstrzymani w progu mówili z uśmiechem pochlebny do nadchodzących:

— Jaś pije...

Jaś pił i płacił za wszystkich. Miał przyjaciół wszędy, gdzie się pokazał. „Jaś, Jasia, o Jasiu“ — dzwoniło naokół po wsi, schlebiało jego sercu.

Tak lata szły, mijały. Jaś cieszył się przyjaźnią ludzi — ludzie częstunkami Jasia. I wszystkim było dobrze. Ale nie bardzo.

Grunt topniał, zastawiany po kawalku, to od-sprzedawany bratu, który korzystał chytrze z róż-

nych chwil miętkości Jasia i odkupywał kawalki za bezcen.

Jaś zauważył pochyłość, po której zsuwał się nieznacznie a stale, lecz nie mógł się już wstrzymać.

Gdy gruntu nie stało, jął przepijać las.

Nadszedł dzień wreszcie, że brakło Jasiowi pieniędzy i kredytu. Zaczął się tedy obzierać na ludzi — ale ci jakby się nie dorozumiewali, o co chodzi.

Zauważył ze zdziwieniem, że go inaczej teraz zaczęto traktować. Nie wołano go, jak zwykle, gdy się w progu karczmy jawił, nie proszono go ku sobie, nie częstowano. Nikto się nim nie interesował. — Jakby się nagle w obcej wsi zobaczył. — Gdy zbliżył się nieproszony ku jakiej kompanji, siedzącej za stołem, nasłuchiwał się tyłu docinków kłujących, że odchodził ze wstydem i bólem.

Jęła się w sercu jego dźwigać złość, której dotąd nie miał. Przemagał się jednak. Chciał z ludźmi witać się, jak dawniej, ale go często nie zauważano lub odpowiadano skinieniami ledwo, jak z łaski.

— Ho, ho, cóż to jest?

Jaś przyjrzał się ludziom lepiej i jakby omamienie z oczu jego spadło. Gniew go obujał. Zaczął prawdę mówić w oczy, ktobądź był, nie przebierając. I tykał wszystkich zajedno.

— Ty myślisz, brzuchaczu — mówił do wójta — że nie wiem, za czyje pieniądze balujesz? Dobrze ogoliłeś gminę przy kupnie lasu.

— Ten zelator — znów o przysiężnym naocznie — co się naraz z dwóch ksiązek modliwa, tak myśli okpić Boga, jak bratańca, co mu grunt zajął.

I tym podobnie. Wytykał wbrew, co go jeszcze więcej od ludzi dzieliło.

Roboty miał coraz mniej, bo trafiło się, że zadatek przepił, a nie zrobił. — Kto chciał mieć przezeń zrobione odzienie, brał go na czas roboty, do domu. — Otrzymawszy zapłatę, pił, dopóki starczyło.

Teraz pił już ze zgryzu. Pił sam. Nieraz przez tydzień nie opuszczał karczmy.

Gdy tak samotny w rogu szynkownego stołu z głową opartą na dłoni w posepie osieroctwa siedział, imwały się go marzenia, których dawniej w umyśle nie miewał.

— Cóż mi to ta wieś? — mówił głośno. — Nudy! Człowieka nie uświadczy. Jakieś sietniaki pokraczne, a byli tu drzewiej ludzie — ho, ho — tym się ani przymierzać! Stał się taki w uboczy, gwizdnął — kierdele owiec za nim, jak płatki śniegu. Sypią się, sypią, bieluskie. Z wierchu na wierch, jak sięgnął, siekierkę drugiemu podał. A jak szli gromadą, w kupie, to jakby szedł las. Wesele jak jechało, to powietrze się trzęsło. Byli ludzie! Hej, hej, ka się to wszystko... Może i są

jeszcze kany — bo czy to tu świat?... Świat jest tam — poza morzami — na cypryjowym brzegu...

— Co, Jasiu, pleciesz — ktoś powiada. — Jaki cypryjowy brzeg?

— Co ty wiesz o świecie? — obruszył się Jaś.— Coś ty widział? Płot ze swojego okna. Tuś się ulegnął, tu umrzesz i tu cię pochowają. A świat sobie tam rośnie — wielominy kwitną...

— Jakie znowu wielominy?

— Drzewa, mój bracie. Takie drzewa, co same śpiewają.

Uśmiechał się ów wzgardliwie i odchodził za swojemi sprawy, ostawiając Jasia marzącego.

Ktoś, co z Ameryki wrócił, przyniósł taką skrzynkę, że gdy się do niej przez szybki wprawione patrzyło i pokręcało z boku umieszczoną korbką, można było różne miasta i kraje uwidzieć.

Nasz Jaś potela zabiegał, pokił tej cudoskrzynki na własność nie zdobył. Tedy, siedząc w karczmie, patrzył w nią przez szkła godzinami, zwiedzał dalekie kraje, wojażował.

— Cóż tam, Jasiu, widzisz? — pytano kpiąco.

— Przypatrz sie. Wieża.. Cudo dziwne. Stoi, a leci.

— Edyc.

— Miasto na morzu... — objaśniał znów.

— Hale — na morzu... To ino ludzispzęty takie.

— Ostaw! — odbierał skrzynkę. — Nie każdy godzin świat widzieć.

I wojażował sam. Zczasem znał tak miasta i kraje, które oczami i wyobraźnią zwiedzał, iż opowiadał o nich, jakby tam był. Wkońcu sam wierzył, że tam był w istocie.

— W New-Jorku takie domy, jakby wieżę na wieży postawił. Na piętra kolejkami wyjeżdżają. Widok na mile dokoła. Ja mieszkał na ostatniem piętrze. Jakich pojrzał zgóry, to się widziało, że mie zemgli. Ludzie na dole mniejsi od pcheł.

— Abo w Madrycie... co za miasto! Gmachy, pałace, traktyjernie... Wszędy ścisk, pełno...

— Czemuż tu siedzisz, kiedy tam tak?

— Ja tu ino do czasu, pokieli co nie zaświta. Pojadę. Świat znam. Co mie tu trzymać może? Tu nijakiej przyjemności..

— Ożeniłbyś sie, Jasiu — żartował ktoś uszczypliwie, bo żadnaby już zań, podupadłego, nie wyszła.

Na to Jaś obruszony:

— Co mi po tych tu dziewczkach, co to ani składu, ani światłości nijakiej. Nie takie ja miał! — poszedł za marzeniem. — Raz we Widniu, kiedych przechodził przez ulicę — a widno mie było, boch sie niósł wysoko — patrzyć: przejeżdża powóz — bielutkie konie, jak mleko — stangret, pannie święty, w luberyi — w powozie siedzi hrabina. Już mnie ujrziała. Kiwła na mnie palcem, kazała stanąć i wzięna mię do powozu. Pojechali my do niej do pałacu. Tam mie gościła — wszystko było,

co ino dusza zapraęła. I mógłbych był zostać przy niej, bo mie puścić od siebie nie chciała, ale mi sie sprzykrzyło — na trzeci dzień-em uciekł. Szukała mnie, goniła — nadaremnie. Juzech do niej nie wrócił.

— Abo znowu... kiedych stawał na warcie przed Burgiem, to sama cysarzowa — pojmujesz to? — do mnie przez okno kukala. Co pojrzę do okna wgóre, to — widzę — firanki się ruszają. Tam stała. A nieraz było, jak na spacer szła i przechodziła koło warty, to mi guldena do ręki wstusila — tak pochychnie, coby Stary nie widział. Tak, mój ty — różnie było. I jaby ci tu za dziewczkami patrzył...

Co Jasia trzymało jeszcze, prócz marzenia, gdy go wszystko inne odeszło — to wiara.

Raz o ćmie czarnej zdązał przez rynek do szynku. A był już przynapity. — Ani pół kroku przed stopą nie widno. — Dopłatał się ścian i, macając dłonią, tak się z mozołem posuwał. Nareszcie dobił do drzwi, pchnął — buchnęło światło na niego. Zdjął kapelusz, podniósł ręce do góry:

— Dej Boże, cobyh tak do nieba trafił.

A raz znów zabrał się z karczmy — już było po północy — o swej godzinie do domu. A że noc była ciemna i rzeka po deszczu wezbrała — zaś dom jego stał nad brzegiem za wodą — karczmarka dała mu latarkę. Przyszedł nad wodę ku ławie — woda już ławę opływała. Nie cofnął się

jednak — wszedł i, dzierżąc latarkę w ręku, posuwał się po oślizgłej belce. Aliści, gdy doszedł do połowy, skiełznął — wpadł do wody i płynie... Jednak, tonąc, podnosi rękę z latarką do góry i woła:

— Matko Boska! Tu mnie masz!

Świeci, aby widziała, gdzie go ma ratować. Matka Boska go też zratowała: — ocalał.

Były misje w parafji. Jaś trzymał się na boku, bo wiedział, że do ślubowania od wódki nakłaniać będą, a toby mu z trudnością przyszło. — Jednego dnia kupił sobie w karczmie graniatówkę okowity i szedł koło kościoła do domu.

Właśnie na cmentarzu przykościelnym miał misjonarz kazanie o pijaństwie. — Jaś z ciekawości podszedł i stanął koło furtki, flaszkę w kieszeni dłonią przytrzymując.

Ksiądz woła z ambony, zwrócony ku niemu:

— Nie dość ci, że się w szynku upijesz, jeszcze do domu niesiesz...

Jaś się splomienił i strwożył.

— Dy on wierutnie wie.

Poszedł poza plecyma ludzi i stanął se opodal za drzewem.

Aliści słyszy, jak ksiądz, w tę stronę zwrócony, powiada:

— Kiedy Adam zgrzeszył, to się skrył za drzewo...

Jaś się przeląkł w sercu.

— To on mnie i tu widzi.

Wycofał się poza mur cmentarny, wyjął z kieszeni graniatówkę i roztrzaskał ją na kamieniach. Poszedł w skrusze ślubować.

Czas jakiś nie pił.

Był, jak pniak wyrzucony z wody na brzeg, zbiedzony, smutny. Dokuczali mu ludzie, zapraszając go pozornie do kompanji. Odpowiadał wzgardliwem spojrzeniem.

Wreszcie jął pić nanowo.

— Bóg widzi Jasia —mówił sobie. — Widzi jego serce. Chce zbawić, zbawi. Wszystko On przenika: wie, kto osiust, a kto ino udaje dobrego.

Gorycz napływała weń, coraz to głębsza. On, który dawniej miał tyle słów przyjemnych dla ludzi, mało się teraz odezwał do kogo. Już i marzyć głośno przestał.

Pewnego razu rzekł stanowczo:

— Ja pojedę do Ameryki.

— Po co? — zapytał ktoś.

— Bo ja chcę na morzu umrzeć.

— ??.

— Bo ja tym ludziom tej przyjemności nie sprawię, coby ja im tu umarł.

Do takiego osądu doszedł wkońcu wszystkim dawniej życzliwy Jaś Z nad brzegu.

POSŁOWIE

Czytelnika powieści „W roztokach“, wpatrzonego w to, co w dziele tem jest najważniejsze, w obraz homeryckiej walki dwóch pokoleń, dwu formacyj społecznych skupienia wiejskiego, słowem, czytelnika uważnego na wartości epickie utworu uderzyć musi postać bohatera, Franka Rakoczego. Bezsprzecznie jest w niej coś, co w epickim obrazie roztok pobrzmiwa dysonansem. Ten szermierz nowego porządku niewątpliwie sam w sobie nie jest dostatecznie uporządkowany, ma na zbroi swej wyraźnie skazę, która zapowiada dalsze rozdarcie. W chwilach nierzadko stanowczych, wymagających sprężenia woli do walki, rzucenia się całkowitego w jednym kierunku, — jego znagła nachodzą smutki, zniechęcenie, cofa się przed decyzją twardą i męską, chwieje się, i on także „chciałby przestać, i usiąść, i zalać się łzami“. Nie jest on wyraźnie z rodu zwycięzców.

A właśnie taka rozszczepiona w sobie struktura psychiczna bohatera wydaje się w tem dziele elementem najbardziej subiektywnym, wniesionym tam z duszy samego twórcy. Wiemy od sa-

mego autora, że w znacznym stopniu utożsamiał się on z Frankiem Rakoczym. Uderzyć zaś musi owa nuta osobista w dziele tem bardziej, im jaśniej uprzytomnimy sobie, że Orkan w poprzednich dziełach swych, odtwarzając życie wsi, od „Nowel“ aż po „Komorników“, wprost jakby programowo unikał wkładów subiektywnych, konsekwentnie zmierzał do obiektywnego, wiernego odtwarzania szczerzej prawdy rzeczy. Teraz, „W roztokach“, nie wytrwał przy programie, nie zdołał założyć tamy wdzierającej się fali subiektywizmu tak osobliwego pokroju: własnego smutku rozdarcia.

Wszystko jedno, jak nazwiemy to znamię psychiczne bohatera i jego rodzica, tę jego chwiejność i zwątlłość woli, z jakim je zwiążemy zjawiskiem literackim. Czy to jest kordjanizm, czy też podmuch dekadentyzmu, który od Krakowa, czy od bliższego Tetmajerowego Ludźmierza, zawiał aż w porębiańską roztokę, — istota zauważonego rysu pozostanie tasama, a spostrzeżenie słuszne. Wszystko jedno tem bardziej, że przecież oba terminy literackie oznaczają ustroje psychiczne bardzo pokrewne, jak o tem świadczyć może choćby wysoce znamienny odczyt K. Tetmajera o „Kordjanie“ z racji krakowskiej premjery dramatu. Poeta ustalił tam wyraźnie między bohaterem Słowackiego a swem pokoleniem braterstwo dusz. Mniejsza więc o termin i dochodzenie genetyczne.

Nie na tem również miejscu godzi się docho-
dzić, do jakiego stopnia to wplecione niespodzia-
nie pasmo liryczne zwiślało i osłabiło jednolitość
osnowy epickiej tamtego dzieła Orkana. Obecnie
obchodzi nas sama w sobie dziwność podkreśl-
onego zjawiska, zwłaszcza zaś jego dalsze etapy
i wynikające z niego konsekwencje rozwojowe.
Ów bowiem Orkanowy liryzm smutku, który da-
wniej szukał był sobie ujścia w twórczości poe-
tyckiej, spotężniał z czasem najwyraźniej, a wtar-
gnąwszy w sferę twórczości powieściowej, stał się
punktem wyjścia fermentu wewnętrznego, a w re-
zultacie całkowitego przegrupowania stosunków
uczuciowych twórcy do świata i do siebie. Wyr-
azem takiego fermentu i przegrupowania staną się
przedewszystkiem następne zbiory nowel: „Her-
kules nowożytny“ (także epilog dramatyczny
„Franek Rakoczy“), i „Miłość pasterska“; konse-
kwencje jego sięgną zresztą bardzo daleko, bo aż
do „Listów ze wsi“, one też wogóle dadzą nam
wyznaczniki dalszego rozwoju wewnętrznego
twórcy i jego artyzmu.

Jakżeż się ten proces zawiązał i rozegrał?

Poza przyrodzonymi dyspozycjami liryka, i to
par excellence liryka smutku, poza ewentualnemi
nawiewami melancholji tetmajerowskiej, miał
Orkan w swem życiu wewnętrznem dość racyj do
rozdarć i cierpień. Zaznaczyć warto jedną cho-
ciażby, wybitnie swoistą. Dał jej poeta wyraz

w wierszu „Powiadali mi chrześni...“. W swoim zakresie jest ten utwór tak głęboko osobisty, że aż ogólnie ludzki, podobnie jak Mickiewicza „Jest u mnie kraj...“, Norwida „Źle, źle zawsze i wszędzie...“, Zaleskiego „U nas inaczej...“, te perły liryki, wyrażającej boleść wyrwania poety z ojcowizny uczuciowej. Mówi ów wiersz Orkana o cierpieniu człowieka, wrosniętego organicznie w swój świat wiejski, a wyrwanego zeń i rzuconego w wiry wielkomiejskie, wyrwanego nie fizycznie tylko. Jest to także „krzyk, co był z tego pokolenia“, echo przeżyć, z którymi porać się musiał niejeden z rówieśnych, będących w podobnym położeniu uczuciowym. Taki zastrzał smutku i takie rozdarcie nie zablźniają się łatwo; dusza, co je nosi, dusza twórcy, dążąca do wyrażenia się w pełni, reagować tu będzie cierpieniem długo i głęboko. Smutek Orkana nie może więc dziwić.

Ale w tragedji Rakoczego wyraziło się coś więcej niż smutek, jest w niej echo wielkiej przegranej, czekającej młodego szermierza zaraz na progu wejścia w „wiek męski, wiek klęski“. Porażka bohatera powieści jest również niewątpliwie zobrazowaniem klęski, doznanej w sobie przez samego twórcę. I on przecież, silnie reagując uczuciowo na nawałę nędzy i krzywdy, usiłował przeciwstawić się jej, pójść w zapasy z zastygłym porządkiem świata. I na niego w jakimś momencie przyszło bolesne rozeznanie granic

swej siły; dotkliwie ujawniła mu się gorzka prawda, że nie tak to łatwo wywazać bryłę życia z posad starego świata i wypychać ją na nowe tory. Królko mówiąc, runęło w młodym twórcy romantyczne pojęcie życia i własnej jego w niem roli. W caliznę buńczuczności jego męstwa młodości wniknął był na drogach życia zaczyn wątpień i zburzył dotychczasową prostolinijskość. Na wiosenny zasiew wiary i entuzjazmu powiało przy mrozkiem rozczarowania.

Rozczarowanie było wielostronne. Nie odjęły mu się umiłowania dotąd najgłębsze. Utrudzony tłum syzyfów, który od początku tak bliski, najczcigodniejszy był prometejskim marzeniom twórcy, przy zetknięciu się bliższem jakżeż zszarzał, w jakichże ujawnił się skazach, jak się stał prawie nienawistny! Obmierzła stała się entuzjaście tępą przyziemność, zabiegi o brzuch, pozioma niemrawość masy ludzkiej. Równocześnie jednak rozczarowanie sięgnęło z drugiej strony także w tajń duchową samego twórcy, poderwało jego wiarę w siebie, cynicznie odsłoniło skryte zakamarki słabości jednostki niby to wyższej, łomkość heroicznego wytrwania w pustce, chytrze wślizgującą się i w niego także zdradę wysokich przeznaczeń duszy samotniczej, kryte upodobanie w namuliskach kuszącej wygody; słowem, ostry samokrytycyzm twórcy odważył był na wadze

i lekkim znalazł sam ów młodzieńczy prometeizm jego duszy.

Ten kryzys i klęska wewnętrzna tem głębiej sięgnęły w duszę i tem boleśniej się uświadomiły Orkanowi, że znalazły uwydatnienie w zewnętrznym toku życia. Jak mniemać wolno, główny moment owego kryzysu przypada gdzieś na czas około 1905 r. Nie odbiegniemy chyba od prawdy, przyjmując, że wpływ pewien na ów proces miały także wypadki zewnętrzne, wstrząs, jakiego doznało podówczas społeczeństwo polskie w związku z rewolucją rosyjską. Niewyłączone, że wpływ był wcale znaczny. Zauważył i na Orkanie ten okres zamętu ideowego, jeden z przykrzejszych, w jakie niewola wpędzała dusze polskie. Orkan, podobnie jak szersze koła radykalnej inteligencji (tej np., której wyrazem była krakowska „Krytyka“), uważał wypadki w Rosji za wyzyw, rzucony przez historję również i Polsce, za wyzyw do powstania. Ale ani w sobie, widać, ani w narodzie nie znajdował sił dosyć, by wyzywowi móc uczynić zadość. Mamy w ówczesnej jego poezji ślady takiego szarpania się w sobie z własną niemocą, mówi o nich n. p. wiersz „Naszła nas burza w czasie spania...”

Niebawem zaś, po żalnym końcu wypadków w Królestwie Orkan, nie sam jeden zresztą z literatów, dał się ogarnąć fali jakby samobiczownictwa. To charakterystyczne kajanie się ze sła-

bości ówczesnego pokolenia trubadurów bohater-szczyzny dostarczyło sporo tematu pracującemu wtedy w „kuźni bluźnierstw“ Irzykowskiemu. Orkan zresztą sam na sobie przeprowadził był ry-chło taką kurację ironjoleczniczą; uczynił to zaś szczerze i bezwzględnie, z całą właściwą sobie za-pamiętałością. Smutki rozczarowanego roman-tyka leczyć jął odtrutką ironji i sarkazmu.

Uderzająca jest ta nagła nawala ironji w dziele literackiem Orkana, dla którego ironja czy hu-mor były dotąd narzędziem nieznanem. Teraz rozparła się szeroko. Naładowany jest nią cały zbiór p. t. „Herkules nowożytny“, powraca ona raz po raz w późniejszych nowelach i poezjach. Kierunek jej, front jej uderzeń, układa się w tych samych dwóch wymiarach, w które wtargnęło roz-czarowanie. Satyra Orkana ma ostrze obustronne, tnie i szarpie umiłowane dotąd nadewszystko zbiorowisko ludzkie, ale zarazem i jego samego, własną jego duszę, własne niedawne marzenia.

Zbiór nowel „Herkules nowożytny“ zajmuje na drodze rozwojowej Orkana pozycję analogiczną jak w twórczości Kasprowicza tom „O bohater-skim koniu i walącym się domu“, jest antidotum na niedawny patos w ujmowaniu spraw tego świata. Szczególnie ostrym sarkazmem wytrawia autor emfazę niedawnych swych zapędów spo-łeczno-reformatorskich. Dostrzegł już, że nikt tak znów gwałtownie nie czeka na donkiszoterję zba-

wicielską—z rodzaju Herkulesów nowożytnych—Kurzawy z Jurgowa, na jego zmagania się z potworem krzywdy i zła; ludzie w zwyczajnym porządku osiedziali doskonale się obchodzą bez jego nieproszonych interwencyj, prawo zaś panujące doraźny z niemi czyni porządek. Ci ludzie zresztą, nawet owi z „krajiny kęp i wiecznej nędzy“, sami wcale skorzy są do posiewu krzywdy na własną rękę, do znęcania się np. nad bezbronną, pomyloną trochę istotą. Tymczasem ci właśnie, z biednych najbiedniejsi, smutni pomyłeńcy, wyłączeni poza nawias społeczeństwa, istoty upośledzone w rodzaju Wojtka-Szczepana, Cyrka, „Djabła“, oni to przyostali się w sercu Franka Rakoczego (z „epilogu“—samosatyry) najdłużej. A właśnie wieś z twardą obojętnością wypchnęła ich poza swój obręb. Wypadło więc i ją smagnąć na odlew biczem sarkazmu.

Nad takim zaś światem, kłębowiskiem małości i samolubstwa, czuwa nie prawo wyższego ładu, ale kamienna obojętność kosmosu. Tak to Orkan podówczas widział. Trzeba bowiem zaznaczyć, że miał on dość pomierne naogół rozwinięty zmysł religijności (nie mógł się pod tym względem ani równać z Kasprowiczem) i w ciężkich swoich frasunkach kryzysu wewnętrznego z tej strony nie znajdował wspomnienia. Dla metafizycznego sensu istnienia nie miał on należytego wyczucia, nie szukał też w nim oparcia. W węższym zaś zakre-

się świata nie znalazł ochrony przed sceptycyzmem. W całej pełni panuje więc on w kręgu nowel ironicznych.

„Przykry moment“, w którym przez głupi przypadek zginął filozof i poeta Kopytko, piastujący w duszy „genjalne“ idee, przykry jest tylko dla niego; przypadkowi widzowie wypadku szybko przechodzą koło niego do swych drobnych zajęć, a nad zmarłym „idee nawet nie fruwały w postaci białych motyli“. Tak to jest w świecie ludzkim i ponadludzkim. Czyż dziw, że twórca odcina się odeń ostrzem satyry?

Nie lepiej jednakowoż jest — jak wiemy — i w jego własnej duszy. To też i tu „świstaj, mój biczu!“ Ze szczególną zawziętością prześwielta Orkan sarkazmem swoim wewnątrz duszy twórcypisarza, prześledza tajne skrytki jej kabotyństwa, zakłamań, nieszczerości, kryptofilisterstwa. Nie ostał się przed surowem okiem ironisty ni „sławny powieściopisarz“ z noweli o Jędrzeju Bai, ni sam Prometeusz z Giewontu. A to znicowanie powołania poety, czy wogóle zawodu literata, który dotąd wydał się był przesłańcem, zwiastunem, prostującym ścieżki ludzkie dla przyszłego Dobra, wyrosło właśnie z pędu do bezlitosnej, dogłębnej rewizji dotychczasowych wartości, jest zarazem najwyraźniejszym może przejawem autosatyry. Bolesnym zabiegiem wszechstronnego samokrytycyzmu wytrawia Orkan w sobie prostotność do-

tychczasowego ujmowania świata, poddaje próbie ognia wszystkie swe dawne świętości i wiary, nie wyłączając wiary w siebie. Co się oprze w tym surowym procesie rewizyjnym nieubłaganemu spojrzeniu duszy-ośmiesznicy, będzie miało w sobie zaiste moc ostoi niewzruszonej.

Zbiór nowel ironicznych „Herkules nowożytny“ ukazał się po raz pierwszy w r. 1905, wydanie drugie wyszło (bez daty) w 1907 r. Tom zawierał wiersz wstępny i siedm początkowych nowel niniejszego wydania. Obecnie — z powodów, o których jest mowa w zamknięciu tomu „Miłość pasterska“ — dołączono tutaj do tamtego zespołu trzy dalsze opowiadania, wyjęte ze zbioru nowel p. t. „Wesele Prometeusza“ (1921). Są to mianowicie późniejsze nieco utwory, wykazujące mniejszą lub większą, niemniej wyraźną przewagę sarkazmu. Czołowy z nich, satyryczna opowieść o Prometeuszu, nie odbiega zresztą nawet czasowo zbyt daleko od głównego zbioru; ukazał się po raz pierwszy w „Krytyce“ już w 1909 r. W ten więc sposób utrzymany został w tak rozszerzonej całości tomu jednolity ton dominujący.

St. P.

SPIS RZECZY:

	Str.
<i>Nad moją duszą</i>	5
Herkules nowożytny	7
Opowieść o planetniku	23
O Wojtku, którego na Szczepana przekręcili	30
Lis	41
Przykry moment	52
Jędrzej Baja i powieściopisarz	58
Jak Jędrzek Śklarz po Włochach jeździł	70
Wesele Prometeusza	120
„Napoleon“	156
Jaś Z nad brzegu	185
P o s ł o w i e	195
